

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

WARSZAWA, ŚRODA 14 CZERWCA 1933 ROKU Nr. 42/43

# PŁOMYK

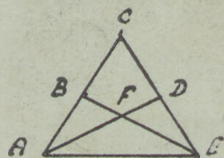
TYGODNIK ILLUSTROWANY  
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



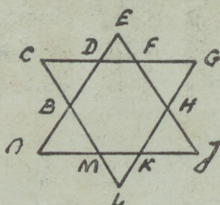
ACHI JAKA CIEPŁA WODA!

# TAJEMNICA OGRÓDKA.

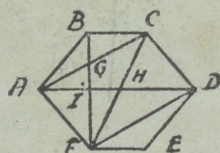
Dokończenie.



rys. 5



rys. 6



rys. 7

Teraz pozostaje wszystko powiedziane sprawdzić na rysunku, obchodząc go z coraz innego kąta i w coraz innym kierunku, co każdy sam może wykonać.

Patyk i ziemię zastąpmy ołówkiem i papierem.

Naśladowując naszą wędrówkę, t. j. prowadząc ołówkiem po papierze, właściwie rysujemy ścieżkę, po której idziemy. Obejść zatem wszystkie ścieżki znaczy to samo, co wyrysować je w taki sam sposób, jak idziemy, t. j. płynnie, jednym ciągiem, nie odrywając ołówka i nie przenosząc z miejsca na miejsce (nie przeskakując). Zatem wszystko, co było powiedziane, może być zastosowane i przy rysowaniu jakichkolwiek wzorów, składających się z kątów i z prostych lub krzywych linii. Tylko wówczas zamiast „iść” powiemy — „rysować”, a zamiast „kąć” — powiemy „węzeł”. Będziemy więc mieli węzły parzyste i nieparzyste. W takim razie zadanie nasze będzie brzmiało tak:

Wyrysować jednym ciągiem dany wzór, nie prowadząc ołówka powtórnie po już narysowanych liniach. Powrót do początkowego węzła — zależnie od umowy — może obowiązywać lub nie.

Będziemy tedy mieli takie trzy reguły:

1) *Wszystkie węzły parzyste.* Rysunek wykonalny. Zaczynamy od dowolnego węzła i zawsze w nim skończymy.

2) *Dwa węzły nieparzyste.* Rysunek wykonalny, jeżeli tylko zaczynamy od nieparzystego węzła; kończymy w drugim nieparzystym węźle.

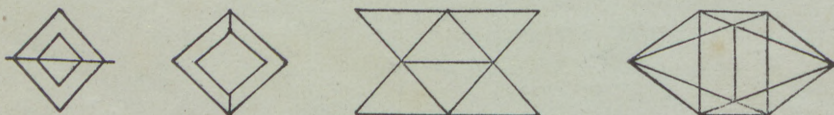
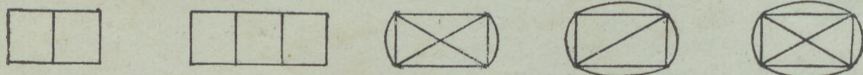
3) *Nieparzystych węzłów więcej, niż dwa.* Rysunek niewykonalny bez względu na to, skąd rozpoczynamy.

Zastosujmy te prawidła przy badaniu poniższych wzorów:

Rys. 5. Nieparzystych węzłów 4: A, B, D, i E. Rysunek niewykonalny.

Rys. 6. Wszystkie węzły parzyste. Rysunek wykonalny. Początek w dowolnym węźle. Koniec tam, gdzie i początek.

Rys. 7. Nieparzystych węzłów 2: B i F. Początek w nieparzystym węźle. Rysunek wykonalny. Zaczynając w B, kończymy w F i odwrotnie.



WZORY DO SAMODZIELNEGO ICH ZBADANIA I WYRYSOWANIA.



Niniejszy numer „Płomyka” tak, jak i poprzedni, wydajemy z podwójną numeracją i w podwójnej objętości, pragnąc, aby Czytelnicy, mimo skróconego roku szkolnego, otrzymali zwykłą liczbę numerów naszego pisma. Pierwszy numer następnego rocznika wraz z kalendarzem ukaże się w pierwszą środę września. W przyszłym roku szkolnym dawać będziemy więcej kolorowych obrazków oraz różne ładne wkładki.

### BOŻE CIAŁO.

*W kościółku naszym dzwony biją  
miarowo i rozgłośnię!  
Już wyszli ludzie z procesyją,  
tłum ich wciąż rośnie, rośnie...*

*Zaintonował organista.  
Podjęły inne głosy  
i popłynęła uroczysta  
pieśń hen, aż pod niebiosy.*

*Idą gromady rozśpiewane,  
barwnymi lśnić strojami;  
chorągwie, złotem wyszywane  
topoczą nad głowami.*

*Ksiądz proboszcz przodem wolno kroczy,  
monstrancję wzniosł do góry.  
Ku Niej wzniesione wszystkie oczy  
i dla Niej śpiewów chóry.*

*Lud idzie, idzie, śpiewa, śpiewa...  
W kościółku biją dzwony!  
Wtórują im poszumem drzewa:  
„Niech będzie pochwalony!...”*

ALINA KWIECIŃSKA.



## WIOSENNA BURZA.

Zszarzało niebo,  
huknął grom,  
lungła deszczu fala  
i chmurzysk groźnych  
czarny kłęb  
po niebie się przewala.  
Wtem czarne cielska  
przebił grom,  
złoćiste ostrze miał.

To rycerz-słonko  
ruszył w bój,  
przepędził chmurzysk zwał.  
Błękitne niebo  
uśmiech śle,  
rozbłysła ziemia cała.  
Kwiatek i trawka  
wonią tchnie.  
Już żabka rechotała.

ZOFJA NIEDZIELSKA.

## DMUCHAWCE.

Nieraz tak bywa, prawda?  
Jest lato, gorący lipiec,  
na łąkach słycać ciurkanie  
świerszczykowych skrzypiec.  
Gra świerszczyk malutki,  
jeden, drugi, trzeci...  
wyciąga nutki, smutki,  
a łąka się wkoło kwieci.  
A gdzieś z boku, na piasku,  
na zielonej trawce  
szeregiem stoją  
dmuchawce.  
Mają podłużne, karbowane liście  
i kulkę nasion, co lśni srebrzyście.  
Takie puszki-wydmuszki,  
srebrne, zwiewne kapeluszeki.  
Weź kilka, dmuchnij silniej  
nieto —

wszystkie się na wietrze rozleć.  
Rozśmieje Ci się buzia od ucha  
do ucha.

Wiem, to tak przyjemnie,  
jak się dmuchawce rozdmucha,  
takie puszki-wydmuszki  
srebrne, zwiewne kapeluszeki.  
Dmuchań, niech lecą z wiatrem,  
uszu Ci za to nie natrę.  
Może wiatr nie będzie miał czasu  
do dmuchania.

Niechaj sobie małe nasionka  
poszukają gdzieś w cieniu  
mieszkania!

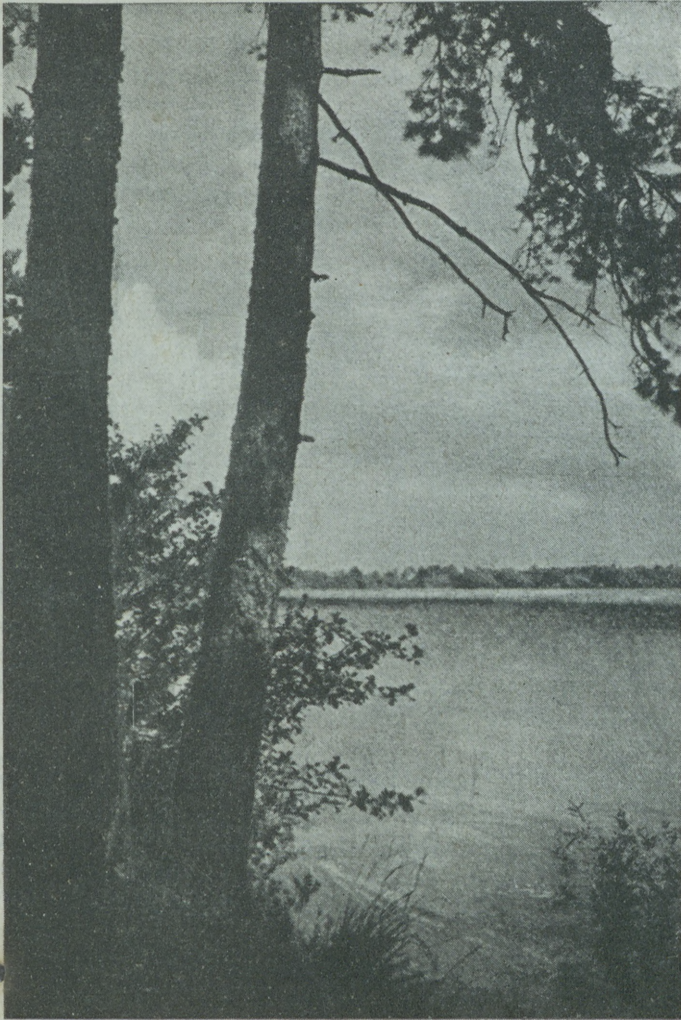
Niech dojrzeją, to potem z wiosną  
znów takie śliczne urosną,  
takie puszki-wydmuszki,  
srebrne, zwiewne kapeluszeki.

L. KRZEMIENIECKA.

## BRZEGAMI SINEJ ŚWITEZI WODY...

Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że gdyby Adam Mickiewicz w zaraniu swej potęgi twórczej nie był napisał swych ballad, a wśród nich jednej o Świtezi, a drugiej o Świteziance, prawdopodobnie niechybny do dziś dnia nie wiedzieli o jeziorze Świtez.

„Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie,  
do Płużyn ciemnego boru  
wjechawszy, pamiętaj zatrzymać swe konie,  
byś się przypatrzył jezioru.  
Świtez tam jasne rozprzestrzenia łono



Fot. H. Poddębski.

## ŚWITEŻ.

w niewielkim kształcie obwodu,  
gęstą po bokach puszcza oczerniona,  
a gładka, jak szyba lodu”.

Mamy w Polsce wiele jezior większych i piękniejszych od Świtezi, ale żadne z nich nie poszczyci się tą mocą poetycką, jaka po wszyst-

kie czasy będzie promieniowała od tej srebrzystej tafli, nad którą unosi się duch Mickiewicza i w której „jeżeli nocną przybliżysz się doba i zwrócisz ku wodom lice, gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą, i dwa zobaczysz księżyc”.

Ale dzisiejsza Świteź nie jest już w całej pełni taka, jak była wtedy, gdy na nią spoglądały oczy poety, kiedy w niedalekich stąd Tuhanowiczach bywał Mickiewicz częstym gościem i długie dookoła jeziora z Marylą Wereszczakówną odbywał spacer.

Jezioro Świteź zachowało wprawdzie do dnia dzisiejszego wiele ze swego pierwotnego uroku i tajemniczości, jest jak niegdyś obrzeżone pierścieniem drzew i krzewów, odbijających się w zwierciadle wody, ale niema już tutaj tych prastarych drzew-pomników, dębów i modrzewi, które wokół wytwarzały ciemności i których „gałęzie u góry wisiały, jak zielone gęste chmury”, a gdy wichur wśród nich wyprawiał harce wyciem, łoskotem i gromem, to pocie się zdawało, że „tam nad głową morze wiszące szumiało”.

„Pomniki nasze! Ileż co rok was pożera  
kupiacka lub rządowa moskiewska siekiera”...

piisał Mickiewicz, wspominając w „Panu Tadeuszu” świteziańskie lasy, które w ciągu ostatniej setki lat ciężkie przechodziły losu koleje. Za czasów, gdy w nich bywał Mickiewicz, należały do rodziny Niezabytowskich, ówczesnych właścicieli Sworotwy, Wałówki, Miratycz i paru jeszcze innych majątków w powiecie nowogródzkim. Ale przyszedł rok 1831.

Ich właściciel wziął udział w powstaniu i jezioro wraz z folwarkiem, zwanem Pieszczańką, zostało mu przez rząd moskiewski skonfiskowane. W roku 1864 otrzymał je w nagrodę za zasługi rusyfikatorskie urzędnik kancelarii Murawjewa, Ochłapkow. Nie wolno mu jednak było tej darowizny ani sprzedać, ani wydzierżawić, ani nawet oddać w zarząd Polakowi.

Mimo to wdowa po Ochłapkowie sprzedała Pieszczańkę ze Świtezią właścicielowi sąsiednich Miratycz, Konstantemu Wojno. Ale akt kupna musiał być sporządzony na imię podstawionego Moskala Stachowicza, który za tę przysługę, wyświadczoną Polakowi, pobierał przez 35 lat dożywotnią rentę. W roku 1901 mąż ostatniej z rodu Wojnów właścicielki Świtezi, Jadwigi Abłamowiczowej, podstępnie bez wiedzy żony i wbrew jej woli, za bezcen sprzedał Pieszczańkę wraz ze Świtezią urzędnikowi rosyjskiemu z Grodna, Kozakinowi.

Zrozpaczona tym niecnym i godnym potępienia czynem, pani Abłamowiczowa rozeszła się z mężem i samotna zakończyła życie w Miratyczach o kilkaset kroków od swej ukochanej Świtezi, której na starość już swoją nazwać nie mogła. W roku 1905 jezioro z folwarkiem nabył p. Puzkarski, urzędnik archiereja w Mińsku. Wtedy to pod ciosami moskiewskiej siekiery padł starodrzew w pasie, okalającym Świ-



Fot. H. Poddębski.

## SCHRONISKO P. T. K. NAD ŚWITEZIĄ.

też, oraz aleje dębów i grabów stuletnich w jego folwarku. Pozostały po nich tylko olbrzymie, butwiejące pnie. Byłoby niezawodnie znikło z powierzchni i niewielkie jezioro Świteż, gdyż Puszkarski zaczął już kopać kanał i spuszczać wodę. Powierzchnia jeziora obniżyła się o  $1\frac{1}{2}$  do 2 metrów. Równowaga warunków bytowania roślin w jeziorze została zachwiana i zaszła obawa, że może wyginąć cenna i osobliwa roślinność podwodna.

Społeczeństwo polskie zostało natychmiast zaalarmowane artykułami prof. B. Dyboskiego oraz kuratora Ossolineum, E. Pawłowicza. Po powstaniu państwa polskiego, za staraniem właściciela sąsiedniego Cząbrowa, p. Karola Karpowicza, zasłużonego ziemianina-uczonego a zarazem delegata Państwowej Komisji Ochrony Przyrody, rozpoczęto kroki o utworzenie ze Świtezi wraz z otoczeniem rezerwatu przyrody i wykupna jeziora od p. Puszkarskiego. Starania te trwały bardzo długo, aż wreszcie w dniu 25 lutego 1928 roku ukazało się rozporządzenie wojewody nowogródzkiego, na podstawie którego las wraz ze Świtezią został uznany za las ochronny. Pozostaje on nadal własnością p. Puszkarskiego, ale nie wolno mu już robić w lesie wyrębów, karczować pni i korzeni, pasać inwentarz i zbierać ściółkę.

W ten sposób piękna Świteż jest dziś pod opieką społeczeństwa i rządu.

W dniu 15 sierpnia 1927 roku Oddział Nowogródzki Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego otworzył uroczyste nad brzegiem Świtezi Schronisko wycieczkowe, zainicjowane przez prof. Kazimierza Kulwiecia na obchodzie jubileuszowym 25-lecia pracy krajoznawczej prezesa Aleksandra Janowskiego. Schronisko otrzymało nazwę jego imienia.

Sprawą budowy zajmował się gorliwie pan wojewoda Zygmunt Beczkowicz.

Prof. Kulwieć, zasłużony geograf i przyrodnik, ze swego lasu w Rusocinie ofiarował potrzebny na ten cel budulec. Dyrekcja lasów państwowych udzieliła swego zezwolenia na długoletnią dzierżawę terenu nad brzegiem jeziora.

Dziś Schronisko nad Świtezią, wybudowane według planu dworku Kościuszkowskiego w Mereczowszczyźnie, stanowi prześliczny punkt oparcia dla wycieczek, które tu z całej Polski słusznie ściągają.

Schronisko P. T. K. położone jest nad traktem, wiodącym z Baranowicz do Nowogródka. Dwa razy dziennie w obydwie strony chodzą tędy autobusy, ułatwiające turystyce dojazd do Świtezi. Z Warszawy wyjeżdża się o godzinie 7 rano t. zw. „kurjerem bolszewickim” (Warszawa—Stołpce—Niegoriołoje) i o godzinie 2 po południu jest się w Baranowiczach. O 3-ej odchodzi z miasta autobus do Nowogródka i w niepełną 1½ godziny już jesteśmy nad Świtezią. Schronisko jest odsunięte cokolwiek w głąb lasu i dzieli je od jeziora piękny podjazd z okrągłym, kwiatami przybranym trawnikiem oraz dosyć rozległa dąbrowa. Po przez gałęzie drzew lśni tafla wodna sienie Świtezi.

Majestatyczna cisza ogarnia tu człowieka i jest tu niezwykle miło wśród tej nowej, przepięknie wyczarowanej placówki Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Dla turystów, pragnących poznać zbliżoną ziemię, co nam wydała Adama Mickiewicza i której Polska zawdzięcza poezję, o takim napięciu uczucia, jakiej żaden inny naród nie posiada, jest to znakomity punkt wypadowy. Stąd jest tylko pięć kilometrów do Cząbrowa, tego domniemanego Soplicowa, którego dwór z kolumnadą empirowego ganku stanowi tak wierne tło do „Pana Tadeusza”, iż dziś nikt już nie poważy się wątpić w przypuszczenie prof. Kallenbacha, że to nie gdzie indziej, tylko tutaj odbył się „Ostatni zajazd na Litwie”, że to jest właśnie ten „dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi”, stojący jak przed laty „nad brzegiem ruczaju, na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju... dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany... a ściany jego tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni topoli, co bronią od wiatrów jesieni”.

Pod troskliwą rodziną państwa Karolostwa Karpowiczów opieką pozostaje nadal ta sercu każdego Polaka najdroższa pamiątka. Tutaj na każdym niemal kroku mimowoli przychodzą na myśl mickiewiczowskie obrazy i do dziś dnia w skarbczyku domowym, jak relikwie, prze-





Fot. H. Poddębski.

#### DWÓR W CZĄBROWIE.

chowuje się z pokolenia w pokolenie... kwity rekwizycyjne polskich oddziałów wojsk napoleońskich, które tędy traktem do Moskwy ciągnęły...

Dziś tym samym traktem ciągną wycieczki szkolne z całej Polski, które tutaj uczą się „mickiewiczowskiej geografji” i ukochania piękna polskiego krajobrazu.

*Dr. Marjan Stępowski.*

## POLSKIE ARCHIWUM LUDOZNAWCZE.

Niezmierną radość zrobili nam dzieci nadesłaniem swych prac do „Płomyka”, na temat świąt Wielkanocnych, w odpowiedzi na artykuł o „Polskim archiwum etnograficznym czyli ludoznawczem”. Jak na pierwszą próbę — prace są zupełnie dobre. Szkoda tylko, że dzieci używają często zwrotu „i t. d.”.

Nas interesuje wszystko, aż do końca, a więc piosenki, przemówienia i opisy trzeba podawać w całości i jak najdokładniej. Rysunki, fotografie, wyjaśniające rzeczy trudne do opisania, byłyby bardzo pożądane.

Z listów widać, że interesujecie się i kochacie zwyczaję doroczne, a to nas cieszy najbardziej. Sądzę, że czasem będziemy mieli wśród czytelników „Płomyka” liczne rzesze korespondentów. Na niektóre z listów odpowiemy pocztą imiennie. A teraz uważajcie na „Zielone Świątki” i Św. Jana, czyli Sobótki. Są to świąta wiosenne, obchodzone w okresie najdłuższych dni, kiedy zorza wieczorna i poranna niemal równocześnie różowi widnokrąg. Dawnymi laty były to uroczystości w okresie roku dla człowieka przedziwnym, żegnał on bowiem mrok i zimę, witał lato i urodzaje. Czarodziejską była noc sobótkowa, czarodziejskimi siły, które podczas jej trwania działały. Okres ten obfituje w wiele praktyk, wierzeń, zwyczajów, do dziś dnia przestrzeganych. Niektóre z nich zamieniły się w zabawy, wielce rozpowszechnione w całej Polsce.

Zygmunt Gloger opowiada, że we wsi Złotorji nad Narwią urządzano „chodzenie z królewną”. W pierwszy dzień Zielonych Świątek przebierano małą dziewczynkę za królewnę, a cztery dziewczyny w męskich ubraniach szły jako „marszałkowie”. Królewnę obnosili dokoła granic wioski w towarzystwie wszystkich dziewcząt ze wsi, śpiewając przytem wiele pięknych piosenek. Czy znacie podobny zwyczaj? A może urządzają coś chłopcy, lub pasterze i pasterki? Może inne figury lub przedmioty są obnoszone po polach? Opiszcie, jakie zabawy podczas Świątek urządzają w Waszej okolicy?

Palenie ognia, zwanych sobótkami, również zaczynało się na Zielone Świątki, ale najczęściej spotykamy je w dzień Św. Jana. Nie jest to zwykłe ognisko, rozpalane bowiem bywa przez tarcie dwóch kawałków drzewa, a płonie w niem prócz gałęzi i chróstu drzewko, stawiane na Zielone Świąta przed domem i wieńce, uwite przez dziewczęta. Przepędza się przez ogień bydło od zarazy, a resztkami niedopałków chroni się dom od piorunów.

Wielkie znaczenie mają zioła, zbierane tej nocy. Znacze zapewne wierzenie o kwitnącej paproci? Może słyszeliście o znaczeniu innych ziół? Opiszcie nam to wszystko, co zdołacie zauważyć lub dowiedzieć się o nocy Świętojańskiej. Pamiętajcie tylko zawsze, aby wiadomości były prawdziwe, związane, jasne, aby wiadomo było, skąd pochodzą i przez kogo są notowane. Czekamy, aby na jesieni znów Was poprosić o współpracę, a w ciągu lata zwróćcie uwagę sami na zwyczaję letnie. Każda Wasza notatka o sianokosach, żniwach, dożynkach przysła nam się na pewno.

H. Żółtowska.

## W P A R K U.

Obsiadły róże czerwcowe  
gazony miejskiego parku.  
Jedne czerwone, jak gile,  
drugie podobne kanarkom.  
Kasztana cień się położył  
na dróżkę skwarną i stromą,  
idziemy trochę zmęczeni,  
ze szkoły wracamy do domu.  
Jak miło spocząć przez chwilę,  
w park patrzeć, wesoło szeptać  
o końcu długiej nauki,  
o wakacyjnych projektach.  
Skoszona wonieje trawa,  
lekko drzew szumią gałązki...

Już nieco ciężą ramionom  
zeszyty, piórniki, książki  
Chciałoby się siąść pod drzewem,  
w poręby iść na jagody...  
lub puszczać kamykiem kaczki  
przez głębie przejrzystej wody.  
Snują się plany, marzenia,  
a słowa szumią, jak rzeka...  
nauka, obóz, wakacje,  
lecz... mama z obiadem czeka!  
Więc prędko torby pod pachę  
i jazda! — Rażno i szparko  
mijamy róże czerwone  
na ślicznych gazonach parku.

M. CZERKAWSKA.

## O A Z A.

Pustynia jest bezwodna  
nie dlatego, żeby tam nie pa-  
dały deszcze, przeciwnie, ale  
te deszcze nie są rozłożone  
równomiernie przez cały rok,  
lecz sprowadzają się do kilku  
szalonych ulew w ciągu roku.

Tworzą się wtedy potęż-  
ne strumienie, które wymywa-  
ją w pustyni wąwozy, zwane  
wadi, a te są zwykle drogami  
karawan.

Ale pustynia ma grunt  
piaszczysty, lub żwirowy i dla-  
tego owe wody nader szyb-  
ko wsiąkają pod powierzchnię  
i tam podziemnymi drogami  
spływają ku najniższym miej-  
scom, gdzie ukazują się źród-  
ła.

Gdzie ukazuje się ain  
(źródło), tam też zaraz rozwi-  
ja się roślinność, a że wodę ze  
źródła można rozprowadzić  
po znacznym obszarze, więc  
ludzie zyskują rolę pod upra-  
wę.

Obszar oaz bywa cza-  
sem duży: oaza Tozeur li-



Dla utrudzonego spiekotą wędrowca  
oaza jest istnym rajem.

czy obecnie 200.000 nakhla (palm daktylowych), co wyżywia 14.000 ludzi.

Na skrajach oazy toczy się stała jej walka z pustynią, która dąży do zasypania jej. Oaza więc wygląda jak olbrzymi bukiet, czy kosz, otoczony pagórami szczerego piasku, który trzeba utrzymywać, aby nie pokrył oazy całunem śmierci.

Jedyną obroną przeciw martwocie pustyni to woda. Obfite źródła, zebrane w zbiorniki i spiętrzone dają możliwość przez bardzo kunsztowną sieć kanałów doprowadzenia zbawczego strumyka do odległych zakątków i urągania wściekłości pustyni.

Dla utrudzonego spiekotą wędrowca oaza jest istnym rajem. Nie tylko sama palma daktylowa ma tam przytułek. Pod jej pierzastym wierzchołkiem kryją się od skwaru inne drzewa owocowe, a więc migdały, figi, brzoskwinie, pomarańcze, granaty, a te znów ze swej strony dają zbawczy cień dla rosnących u ich stóp jarzyn i kwiatów.

W ten sposób na oazie jest jakby trzy piętra produktywnej roślinności: u samej góry daktyle, niżej owoce, jeszcze niżej jarzyny.

Największym jednak błogosławieństwem oazy, obok wody, jest palma daktylowa, dająca Arabowi pokarm, budulec i opał.

Nawet gamal (wielbłąd) korzysta, bo zjada pestki daktylowe, chrupiąc je, choć są jak kamienie twarde, w swych silnych szczękach.

Ciekawą jest rzeczą, że palma daktylowa posiada oddzielne osobniki męskie, a osobno żeńskie. Aby nastąpiło obfite zapylenie, Arab obcina kwiaty męskie i strząsa pyłek na kwiaty palm, rodzących owoc.

Starannie pielęgnowana palma daje rocznie 20 — 30 kilogramów owocu.

Arab liść palmowy uważa za symbol szczęścia, a zapylenie palm to dla niego obrzęd religijny. Robi to duże wrażenie, gdy się słyszy płynące gdzieś z wierzchołka drzewa poważne tony psalmów błagalnych do Allaha, aby zesłał urodzaj balak (daktyla).

Każdy skrawek ziemi na oazie jest nad wyraz cenny, a Arab musi go podlewać troskliwie, jeżeli chce doczekać się plonów.

Całe życie oazy ześrodkowuje się nad wodą. Tu się chłapie dziatwa, tu kobiety piorą bieliznę w bardzo charakterystyczny sposób, bo kładą prane przedmioty na kamieniu i depcą je długi czas nogami.

Rozdział wody pomiędzy poszczególnych właścicieli gruntów odbywa się według pewnych, ściśle ustalonych zasad, których pilnują specjaliści strażnicy.

Zwłaszcza w latach suszy wymiar wody odbywa się bardzo skrupulatnie, gdyż jest to wszystko ściśle wyliczone, dla ilu ludzi i zwierząt, oraz na jaką przestrzeń gruntu jaka przypada ilość wody.



Całe życie oazy ześrodkowuje się nad wodą.

Przez obsadzanie granicznych wydm i dalsze rozprowadzanie wody powiększają ludzie obszar tego rajy, jakim jest oaza.

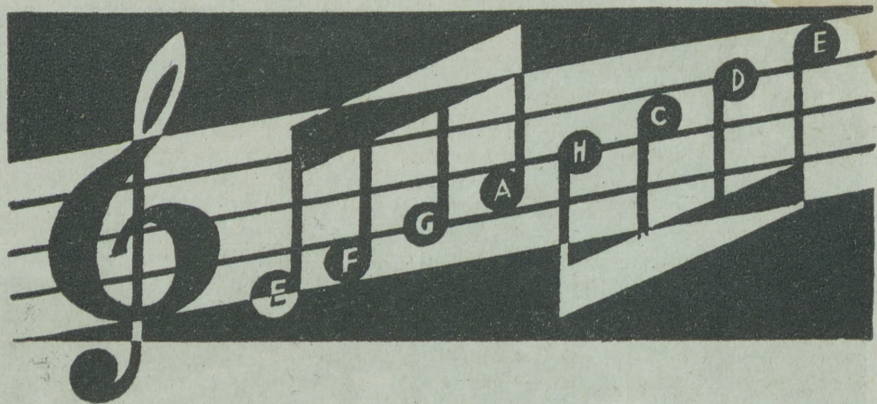
*Al. Janowski.*

## POLSKIE MORZE.

*Szumi woda, szumi  
w naszym polskim morzu  
od wschodu słońca  
aż do rannej zorzy.  
Fala fale goni,  
szepce coś i gada...  
Postuchajcie tylko,  
o czym opowiada:  
— Hej, płyniesz zdaleka,  
Wisto, polska rzeko!  
Mówże mi nowiny  
z najmiłszej krainy.  
— Słę wiatry od morza  
z miłym pozdrowieniem  
i dla polskich dzieci,  
i dla polskiej ziemi!*

*Rok trzynasty minął  
od tej cudnej chwili,  
gdy polscy żołnierze  
do mnie tu przybyli.  
Hejże, mocny Boże,  
jak lotne jaskółki,  
spadły na me brzegi  
pierwsze polskie pułki!  
Dzień niezapomniany,  
dzień w życiu jedyny —  
moje z Tobą, Polsko,  
święte zaślubiny!  
Fala fale goni,  
szepce coś i szumi...  
Kto Polak, ten głos jej  
na pewno zrozumie.*

*J. MAJEWSKA.*



## W KRAINIE DŹWIĘKÓW.

Jurek Mazurek ogromnie lubił muzykę i śpiew i uczył się już nawet grać na fortepianie.

Razu pewnego, po skończonej lekcji muzyki, Jurek poprosił grzecznie panią nauczycielkę, aby mu coś ładnego zagrała. Pani zgodziła się chętnie i zaraz zaczęła grać, a Jurek usiadł sobie na otomanie, przymknął oczy i słuchał.

Zrazu uwaga jego była naprężona i zdawał sobie sprawę z tego, że to pani tak ślicznie gra, ale w miarę upływania czasu, słodka muzyka zaczęła go rozmarzać i kołysać i wkrótce zapomniał, gdzie jest i co się z nim dzieje. Zdawało mu się, że płynie gdzieś wysoko aż pod chmury, aż wreszcie znalazł się przed jakimiś złocistymi wrotami, które otworzył przed nim — znany mu dobrze z pięciolinji nutowej — Klucz Wioolinowy. Oczarowany precudną muzyką, która dolatywała go zewnątrz, Jurek wszedł i zrozumiał od razu, że znajduje się w Krainie Dźwięków.

Nie chcąc przerywać słodkiej melodji, usiadł cichutko na pierwszej z brzegu pięciolinji i zaczął rozglądać się dokoła. Tuż przed nim rozciągała się długa pięciolinja nutowa, na której — niby jaskółki i wróble na drucie telegraficznym — siedziały nuty. Rozmieszczone były rozmaicie. Jedne łączyły się w kolumnienki lub długie rządki, inne siedziały samotnie pomiędzy kreskami taktowemi, jeszcze inne trzymały nad sobą czarny łuk, niby girlandę kwiatową, a były i takie, którym towarzyszył bemoł, krzyżyk, lub kasownik. Wszystkie te nuty, zamiast zwyczajnych kropek i kółeczek, miały maluchne twarzyczki i malusieńkie usteczka, które otwierały kolejno lub po kilka razem, wydając z nich dźwięki czyste i śliczne.

Jurek słuchał muzyki z wielkim zachwytem i pragnął, aby trwała jak najdłużej. Wkrótce jednak ostatnie nuty, znajdujące się przy końcu pięciolinji, odezwały się razem mocnym i zgodnym akordem — i wszystko uciхло.

Wtedy stała się rzecz bardzo dziwna. Nuty pzeskakiwały z pięciolinji i podbiegły w podskokach do Jurka, aby się z nim zapoznać. Pierwszy zbliżył się Klucz Wiolinowy i, pokłoniwszy się nisko Jurkowi, zaczął mu przedstawiać wszystkie nuty:

— Panna C, panna D, panna Fis, panna H, panna As, panna F... — przedstawiał uprzejmie a nuty dygały przed Jurkiem i usuwały się na bok, czyniąc miejsce innym. Jurek kłaniał się i uśmiechał przyjaźnie.

Po skończonej prezentacji zaczęła się rozmowa.

— Podziwiam ten światek muzyczny — rzekł Jurek! — Jaka w nim panuje zgoda, jaka harmonja przedziwna! Nie tak, jak pośród nas, ludzi, którzy często sprzeczamy się ze sobą.

— Myli się pan, panie Jurku — rzekła nuta C, dygając nieśmiało, — niezawsze panuje u nas zgoda, bo nie wszystkie lubimy się ze sobą. Mamy i my swoich przyjaciół i swoich wrogów.

— O tak — dodała nuta A, — różnimy się ze sobą rodzajem dźwięków i jeżeli człowiek, od którego jesteśmy zależne, nie doberze nas dobrze podług naszych dźwięków i charakterów, wówczas wpadamy w gniew i mścimy się na nim w okrutny sposób.

— I cóż takiego mu czynicie? — spytał Jurek niedowierzając.

— Rzucamy się na niego gniewne i obrażone, bijemy go po głowie, gryziemy, drapiemy i krzyczymy mu do ucha: Fałsz! Fałsz! — rzekła nuta H.

— Czyż to możliwe? — zawołał Jurek zdumiony wielce. — Jesteście przecież wszystkie tak miłe i grzeczne!

— Owszem — zabrała głos nuta F. — Każda z nas jest miła i łagodna, ale zosobna. Gdy zaś razem odezwać się mamy, musimy być



... podbiegły w podskokach do Jurka ...

odpowiednio dobrane do siebie podług nazw i dźwięków. Jesteśmy bardzo grymaśne. Ja na przykład nie zgadzam się z moimi sąsiadkami nutą E i nutą G — i kiedy nas ktoś razem uderzy na klawiszach, wydajemy tak przeraźliwy dźwięk, że ludzkie uszy znieść go nie mogą.

— No, no! Nie do wiary! — rzekł Jurek i zaczął dopytywać się, jak trzeba nuty dopasowywać do siebie, które z którymi lubią się i zgadzają, a których nie należy łączyć w akordy. Nuty odpowiadały mu na wszystkie pytania bardzo cierpliwie i łagodnie.

Nagle — stało się coś strasznego. Wszystkie nuty zerwały się z miejsc, skoczyły bezładnie na pięciolinję, na której siedział Jurek i, rzucając się na niego z wrzaskiem okrutnym, zaczęły go bić, gryźć, drapać i krzyczeć mu do ucha: — Fałsz! Fałsz!

Przerażony wielce Jurek zerwał się do ucieczki, uciekając zaś zaczepił nogą o najniższą linję nutową i runął w przepaść.

Wówczas otworzył oczy i pierwsze jego spojrzenie padło na kota Mruczka, który zeskakiwał właśnie z klawiatury fortepianowej, przerażony śmiertelnie hałasem, jaki uczynił.

On to był sprawcą brzydkiego zakończenia snu Jurka o Krainie Dźwięków, bo wskoczywszy niebacznie na otwartą klawiaturę, nacisnął łapkami klawisze tych właśnie nut kapryśnych, które się ze sobą nie zgadzały!

*Janina Gillowa.*

## CO Z NIEJ BĘDZIE?

Hala wyjęła z papieru przyniesione baze opadłe z topoli i pokazała w klasie Pani, ale podnosząc je zauważyła, że na papierze coś się rusza.

— Proszę pani, tu jest jakiś robaczek, proszę zobaczyć.

— Gdzie? gdzie? Ja chcę zobaczyć, i ja! — zagłądały dzieci, pochylając się nad Halą.

— To jest jakaś gąsieniczka, zobaczmy, co z niej będzie — powiedziała Pani... — Ale na to trzeba poczekać. Gdzie ją tymczasem położymy?

— Ja wiem! — zawołał Janek. — Nasypimy do pudełka ziemi, a na wierzch położymy ją i ona będzie myślała, że jest w ogrodzie pod drzewem.

— Doskonale — ucieszyła się Pani, — tylko zamiast pudełka, dam wam szklankę. Nasypcie szklankę do połowy ziemią.

— A teraz, Janku, może znajdziesz kawałek ciemnej okładki i kawałek sznurka? Weź, Zosiu, od Marysi szklankę z ziemią, obwin ją z boku papierem, żeby nie było szkła widać i obwiąż sznurkiem, a Hela ułoży w niej na ziemi tę gąsieniczkę.

Zosia prędko obwinęła wokół szklankę i obwiązała sznurkiem, a Hela ostrożnie podniosła pędzelkiem gąsieniczkę i włożyła ją do szklanki.



— O, proszę Pani, tu jest jeszcze jedna i jeszcze! — zawołała.

— Tem lepiej, włóż je tam wszystkie, a na wierzch połóż kilka bażek i wsyp ten pyłek z papieru. Może gąsieniczki będą ten pyłek, lub baze jadły i jeszcze trochę urosną.

— Czy nakryjemy zwierzchu szklankę? — pytały dzieci.

— Niekoniecznie. Gąsieniczki tak się wolno ruszają, że chyba nie wyjdą ze szklanki, a w otwartej będą miały więcej powietrza.

A teraz kto z was umie pisać drobnymi literami, niech napisze datę dzisiejszą na papierku i przyklei do szklanki.

Szklanka stała na oknie przez cały tydzień. Po tygodniu Pani wzięła szklankę i spytała:

— Kto potrafi ostrożnie zdjąć bażki?

Zdjąć toby każdy potrafił, ale ostrożnie, przy tem słowie kilkanaście wyciągniętych rąk opadło i czekano, spoglądając po sobie.

— Niech Antek zdejmie! — zdecydowano wkońcu.

Chłopak powolutku podniósł baze i zajrzał do szklanki.

— Niema ich! — zawołał ze strachem.

— Co? niema? Może wyrzuciłeś? — wołały dzieci.

Antoś miał już zamiar beknąć na cały głos, ale Pani uśmiechnęła się do niego i tem mu przerwała.

— A może się kto domyśli, gdzie się one podziały? — spytała.

— Nie, nie domyślimy się!

— Ano, rozwiążcie sznurek i zdejmijcie okładkę ze szklanki.

— O jej, co to jest? — wyrwało się z ust Antosia.

Zrzucony papier odsłonił ziemię, a w szklance za szkłem widać było leżące w ziemi jakieś dziwne żółtawe stworzenia.

— Co to jest? To niepodobne do tamtych gąsieniczek! — pytał zdumiony Stach. — Widać jakby nóżki i skrzydełka malutkie.

— Bo też to już nie jest gąsieniczka, ale poczwarka, w którą się ona zamieniła. Widać już na niej zarys 6-ciu nóżek i malutkie skrzydełka. Obejrzyjcie je dokładnie, potem zawiążemy i znowu będziemy czekali, co z tego będzie.

— Aj, proszę pani, jedna się rusza, może ucieknie! O, rusza ogonkiem!

— Nie ucieknie. Poczwarka może tylko drgać lub kurczyć się, nie pełza i nic nie je. Ona jakby śpi, a przez ten czas coś się w niej robi. A to, co nazywasz ogonkiem, to nie ogonek. O owadach mówią, że mają odwłok, a nie ogonek.

— Prawda, że trzeba na kartce napisać, że się zamieniły gąsieniczki w poczwarki?

— Tak, tak i postawić dzisiejszą datę! Ale teraz, dzieci, weźcie cienki kawałek papieru i zawiążcie szklankę z wierzchu, aby to, co z tej poczwarki wyjdzie, nie uciekło nam.

Minął jeszcze tydzień.

Aż tu nagle pewnego dnia, a była to akurat lekcja historii, któreś spojrzęło na szklankę i zaczęło krzyczeć:

— Wyszło coś, wyszło coś!

Pani postawiła szklanke na stole i posłała Stacha do kancelarji po kawałek szkła, który tam miał leżeć na stole.

Pani, ostrożnie, bardzo ostrożnie i powoli zsunęła nakrywający szklanke papier, a na to miejsce nasunęła szkło.

— O, o, o! — rozległo się westchnienie ulgi z piersi kilkunastu skupionych wokoło dzieciaków.

— Ajaj, to żuczki! — wołało jedno.

— Chrabąszcze? — pytało drugie.

— Nie chrabąszcze! — krzyczało trzecie.

— Nie chrabąszcze, ale chrząszcze, albo żuczki, jak czasem mówią — rozstrzygnęła pani.

— Jakie żółte! A łapki śmieszne, tu szersze, tu węższe.

— Oczka czarne. I czarny nos, a długi i zagięty wdół.

— Na nosie ma jakieś odstające różki załamane, co to, proszę pani?

— To jego wąsiki, któremi czuje. A ten wydłużony ryjek, trochę zgięty, do kogo robi go podobnym?

— Do słonia, proszę pani. Słoń ma nos długi i on ma długi.

— Tak, to też chrząszcza z takim długim ryjkiem nazywamy ryjkowcem albo słonikiem, ale ten ryjek to nie nos jego, a wydłużona głowa.

— A ile on ma nóg? Jak dużo! Raz, dwa, trzy i tam z drugiej strony znowu trzy.

— To ty nie wiesz, że każdy owad ma 6 nóg?

— A co on je?

— Zapewne liście tej topoli, której bazie go wyhodowały, wszystkie ryjkowce karmią się roślinami i dlatego wiejscy gospodarze nie lubią ich, bo czasem wyrządzają wielkie szkody.

— Jak ładnie rusza swoim ryjkiem, jakby dziobał szkło, a wąsiki to przytuła do głowy, to znowu rozsuwa.

— On pewnie głodny, prawda, proszę pani?

— Pewnie, że głodny. Ostatni raz jadł, jak był gąsienicą, a to już blisko 2 tygodnie temu.

— Ach jej, proszę pani, jak on się w tej poczwarcie mógł zrobić?

— Pierwej była gąsieniczka, potem przemieniła się w poczwarkę, a teraz poczwarka przemieniła się w chrząszczyka. To przecie tak, jak bywa w bajkach. Czemu mówią, że bajka to nie prawda, proszę pani? Przecie tu była prawda?

Nauczycielka milczała chwilę.

— Jak się to wszystko dokonało, nie umiem wam powiedzieć, dzieci — rzekła wreszcie. — Może które z was, jak wyrośnie, rozwiąże tę zagadkę, dziś wiem tylko, że to jest jeden z tych cudów, na które codzień patrzymy, ale nie każdy je widzi.

Dzieci patrzyły milcząc w twarz nauczycielki i było przez chwilę tak cicho, jak w kościele.

*Helena Jarmolińska.*



TYLE ZABAW WAS CZEKA PODCZAS WAKACYJ!



### MAM CI JA OKRĘCIK.

Mam ci ja okręciak,  
okręciak drewniany,  
czerwono i biało  
ślicznie malowany!  
Danaż moja, dana,  
oj dana, oj dana!  
Pojadę nim w podróż

w poniedziałek z rana.  
A jak mi się uda,  
żagiel z płótna zrobię  
i do samej Gdyni  
powędruję sobie.  
Danaż moja, dana,  
oj dana, oj dana!

J. MAJEWSKA.

### DZWONY I DZWONKI.

Mijają dzionki w pracy  
jeden za drugim  
i płynie roczek szkolny  
sznureczkiem długim.  
Aby się nie dłużyły  
w tygodniu dzionki,  
pieśnią je podzieliły  
dzwony i dzwonki.  
Więc raniem dzwon kościelny  
powtarza: „Bogu gram,

oto dziś dzień niedzielny,  
do świątyń śpieszcie bram”.  
Nazajutrz znów poleci  
wesole: „Dzień, dzieleń,  
do szkoły chodźcie, dzieci,  
bo pracy nadszedł dzień”.  
Godzinka prędko minie,  
zawoła dzwonek nas:  
„Chodźcie, już po godzinie,  
teraz zabawy czas!”

Gdy dzionek w mroku ginie,  
wieczoru idzie cień,  
od wieży głos popłynie:  
„Skończony pracy dzień.  
Dziękujcie, dzieci, Bogu:  
dał piękny dzionek wam,

u dnia zgasłego progu  
na Bożą chwałę gram”.  
Więc, by się nie dłużyły  
kochane dzionki,  
pieśnią je podzieliły  
dzwony i dzwonki.

W. MALICKA.

### LEKKOMYŚLNY ELF.

Mała Lina przechadzała się po ogrodzie. Ułożyła właśnie do snu niesforne swe lalki, co jej się zwykle udawało z trudem, gdyż nawet lalki nie lubią spać w piękne, letnie popołudnie, kiedy jasne pyłki tańczą w promieniach słońca, czerwienią się wiśnie, a rozgrzane siano pachnie tak rozkosznie, że chciałoby się zanurzyć w niem z głową, nóżkami i czystym fartuszkim. To też lalki dąsały się na swoją mamusię, lecz ona, nie zważając na ich protesty, kładła je spać coraz wcześniej i biedne lalki, otulone kołderkami, przesypiały najpiękniejsze dnie, a Lina bujała po ogrodzie w towarzystwie psa Hermesa, który ją bardzo kochał. Kochały ją wszystkie zwierzęta, gdyż Lina miała dobre serduszko i nie dała nigdy żadnemu z nich uczynić krzywdy.

Pewnego razu wyrwała z rąk złego chłopaka wróbla z uwiązaną na łapce nitką i z płaczem zaniosiła go do domu, gdzie odciawszy nitkę, wypuściła ptaszka na wolność.

Innym razem uratowała nieszczęsne kocię, które chciano utopić. Kocię wyrosło na tłustą i puszystą kotkę Misię, która klóciła się za-



Lina cichutko otworzyła furtkę...

wzięcie z Hermesem, bijąc go czasem nieszkodliwie po pyszczku, chwając przytem jednak zawsze pazury, gdyż do poważniejszych nieporozumień pomiędzy obu zwierzętami nie doszło nigdy.

Lina karmiła bezpiecznie psy-włóczęgi, zimą sypała okruchy ptakom przed oknem, to też ptaki i zwierzęta z całej okolicy znaly ją i kochały, gdyż zwierzęta wiedzą wszystko i umieją być wdzięczne za okazane im serce.

Bujając po ogrodzie, znalazła się Lina koło furtki, poza którą rozciągały się żółciutkie pola, a za polami wielki, gęsty las.

Lina cichutko otworzyła furtkę i pomimo niemych próśb Hermesa, który starał się odwieść ją od zuchwałego zamiaru, zamknęła mu furtkę przed nosem i pobiegła w pole.

Wszystko było złote, ciepłe i pachnące. Zboże szumiało, skowronki śpiewały. Ach, jak było wesoło! Lina rwała bławatki i maki, nie wiedząc, że oddała się coraz bardziej od domu i mamusi.

Nagle — tuż nad ziemią odezwał się cieniutki głosik: — Dzieńdobry, Lino.

Lina spojrzała na ziemię. Siedziała przed nią malutka, szara myszka polna.

— Dziwisz się, zapewne, że cię znam — mówiła myszka. — Ale znamy cię tu wszyscy i wszyscy wiemy, że jesteś miłą dziewczynką, dobrą i litościwą dla zwierząt. Chcę cię więc dzisiaj zaprosić do swej norki na imieniny najmłodszej mojej córeczki. Będę miała trochę gości i będziesz się dobrze bawiła, zobaczysz.

— Ale jakże wejść do twej norki, myszko? — mówiła Lina. — Jestem przecież za duża.

— To nic, poradzimy na to — odpowiedziała myszka. — Wdziałam tylko co tutaj elfa zbożownika. Kręcił się w pobliżu i oczyszczał kłosa ze szkodliwych żuczków. Wyjrzę, może nadleci.

Jakoż niedługo czekały. Wkrótce zbliżył się do nich elf zbożownik. Miał złotą sukienkę na sobie, czerwone skrzydełka i wyglądał, jak piękny, barwny motyl. W ręku trzymał zieloną laseczkę.

— Miły elfie — rzekła myszka, składając prosząco łapki, — proszę cię bardzo, ale to bardzo, żebyś dopomógł naszej drogiej Linie wejść do mej norki, zaprosiłam ją bowiem do siebie, a ona jest przecież tak duża, że do mego domku nie wejdzie.

— Ależ z miłą chęcią — odpowiedział uprzejmie elf. — Wystarczy mi, Lino, dotknąć cię tą oto czarnoksięską laseczką, a staniesz się małą, jak laleczka.

Dotknął swą laseczką ramienia Liny i dziewczynka poczęła się zmniejszać, zmniejszać, aż stała się tak małą, jak najmniejsza z jej lalek. Ach, jak to było zabawnie! Zboże wydawało się jej wysokie, jak las, a maki wyglądały, jak wielkie purpurowe parasole. Lina śmiała się i cieszyła, ale rozsądna myszka przypomniała sobie, że elfy bywają lekomyślnie i roztargnione, przemówiła więc grzecznie:



... z miłą chęcią — odpowiedział uprzejmie ełf.

— Mój miły elfie, tylko nie zapomnij, proszę, powrócić tu za dwie godziny, ażeby małą Linę zamienić zpowrotem w dużą, gdyż mamusia jej nie pozna, jak Lina wróci do domu.

— Ależ naturalnie, będą na was czekał tu za dwie godziny — zapewnił zbożownik i, rozwinąwszy śliczne skrzydełka, odleciał.

Lina wraz z myszką wsunęły się do norki. Zastaly już tam zebrane towarzystwo: kilka innych myszek, dwa szczury, kreta. Myszka przedstawiła Linie swego męża i dzieci: Rudzika, Szarunia i Puńcię. Myszki bardzo gościnnie zajęły się Liną. Pokazały jej swoje mieszkanie i dobrze zaopatrzoną w ziarno spiżarnię. Podwieczorek składał się jednak z zapasów, pochodzących z domu mamusi Liny: słodkich sucharków, cukru i słoninki. Zapasów tych dostarczyła myszce przyjaciółka jej, myszka domowa, mieszkająca pod podłogą domu Liny.

Linie bardzo wszystko smakowało. Myszki wydały się jej przemiłe i nie mogła pojąć, dlaczego ludzie tak je prześladują.

Po dwu godzinach zabawy dziewczynka zatęskniła jednak za domem i mamusią, pożegnała się uprzejmie z całym towarzystwem i wraz z myszką wyszła przed norkę, pewna, że elf czeka już na nie. Jakież było przerażenie obu, gdy nigdzie go nie dojrzały. Myszka rozglądała się na wszystkie strony i wołała go, ale elf się nie zjawiał. Myszka była w rozpacz. Co będzie, jeśli lekkomyślny elf zapomniał o swojej obietnicy i, ukończywszy swą pracę na tym kawałku pola, wyniósł się dalej, znacznie dalej? Gdzie go szukać? Pola były niezmiarzone, a nóżki myszki i Liny takie maleńkie. Myszka była sama matką i rozumiała, jak straszonym ciosem była dla mamusi Liny strata ukochanej córeczki, bo któż z ludzi w tem malutkiem, jak ludzki palec stworzonku, pozna milusią dziewczynkę, Linę? Lina, widząc, że niema nadziei odnalezienia elfa, wybuchnęła płaczem. Myszka milczała — czuła swą winę. Czyniła sobie gorzkie wyrzuty, iż wiedząc, jak elf jest lekkomyślny, mogła mu zaufać. Po chwili odezwała się: — Lino, droga dziewczynko, nie płacz, elf wróci na pewno. Ja dzień i noc będę go szukała, odnajdę go i przyprowadzę do twego domu, aby cię zamienił zpowrotem w dużą dziewczynkę. Wróć do domu i czekaj mnie, przyjdę na pewno wraz z elfem.

Lina w towarzystwie myszki, płacząc, poszła do domu. Myszka pożegnała ją u bramy i wróciła do siebie zgnębiona.

Lina cichutko wsunęła się na podwórze i wbiegła do domu. Była tak lekka, że jak mucha weszła po poręczy schodów, gdyż niemożliwym było dla niej wgramolić się po schodach na werandzie na ganek. Zastąpiła mamusię i tatusia zrozpaczonych.

Dowiedziała się z ich rozmowy, że rozesłano całą służbę na poszukiwanie jej. Ale gdy zawołała: — Mamusi! Nikt nie usłyszał jej głosu. Co gorsza, mamusia i tatuś byli tak wielcy, że nie zauważyli wcale drepczącej po podłodze córeczki i Lina musiała wsunąć się pod stół, z obawy, aby jej nie rozdeptano. Płacząc gorzko, zeszła z ganku i podreptała do przyjaciela swego, Hermesa. Była ciągle w śmiertelnej obawie, aby które ze zwierząt nie uczyniło jej krzywdy. Ujrzała zda-





... olbrzymie, jak żyrafy, kury...

leka Misie, wielką w jej oczach, jak tygrys, olbrzymie, jak żyrafy, kury; byłoby to nawet bardzo zabawne, gdyby Lina nie była tak smutna. Bolało ją to najwięcej, że mamusia jej ukochana nie zauważyła swojej córeczki. Hermes był na szczęście w budzie.

— Hermesie! — zawołała żałośnie Lina.

Pies począł strzyc uszami i, wysunąwszy głowę z budy, poznał od razu swoją panienkę. Lina z płaczem opowiedziała pocziwemu psu swoją historję. Hermes wysłuchał jej uważnie, poczem odezwał się:

— Niema rady, musimy sami poszukać elfa. Myszka, mimo najlepszych chęci, nie potrafi go odnaleźć wśród tych olbrzymich pól, ludzie nie poznają cię nigdy i gdyby cię nawet zauważyli, pomyślą, że im się to śni, nie wierzą bowiem w istnienie takich malutkich istotek, jak ty. Siadaj więc na mój grzbiet, bo głupie kury zadziobać cię gotowe i pójdziemy oboje na poszukiwanie niegrzecznego zbożownika.

Lina wgramoliła się na grzbiet Hermesa i wyszli na drogę. Hermes biegł miedzą, a Lina rozglądała się uważnie, czy nie dojrzy gdzie elfa. Ale było pusto i gorąco, tylko niezmezczone świerszcze przygrywały sobie cichutko na skrzypeczkach. Lina z Hermesem minęli pola i wpadli do lasu. Ach, jakiż las wydał się Linie ogromny! Nie mogła dojrzeć wierzchołków drzew i poczuła się nagle taka malutka i nędzna, że jej się chciało płakać znowu. Las mienił się tysiącem barw. Jasnozielone paprocie i czerwone kaliny tworzyły przecudny wzorzysty kobierzec, przetykany kolorowymi kapeluszami grzybów. Hermes i Lina znużeni zatrzymali się pod wielkim świerkiem. Lina zsunęła się z grzbietu

Hermesa, który rozciągnął się na murawie i, zawoławszy na nią, aby nie oddalała się zbytnio, zdrzemnął się.

Lina przechadzała się grzecznie wśród paproci i jądła czarne jagody, które były tak wielkie, jak jabłka, tak, że zjadłszy dwie, w zupełności nasyciła głód. Od kiedy stała się małą i rozumiała mowę zwierząt i roślin, wszystko wydawało się jej tysiąc razy piękniejsze i bardziej ciekawe. Przysłuchiwała się też szczebiotowi ptaków i cichym rozmowom żuczków i mrówek. Ach, jakież cudny, cudny był świat! Gdyby nie tęsknota za mamusią, Lina wcale nie chciałaby już być duża, gdyż teraz wiedziała i widziała o wiele więcej ciekawych rzeczy, niż przedtem, gdy była dużą dziewczynką. I teraz więcej jeszcze kochała rośliny i zwierzęta i drogi, ciemny las. Tak bliską czuła się temu wszystkiemu.

Nagle pod jednym z grzybów dojrzała siedzącego małego człowieka, który latał pilnie zielone ubranko. Lina chciała się cofnąć, lecz człowieczek zawołał uprzejmie:

— Wejdz tu, mała istotko, i nie bój się mnie wcale, jestem krasnoludkiem, znają mnie tu wszyscy.

Lina weszła, a człowieczek podsunął jej miękką grudkę darni. Lina usiadła i przyglądała się jego robocie. Krasnoludek wypytywał ją dyskretnie, skąd przybywa i kim jest. Lina z całym zaufaniem opowiedziała mu swoją przygodę. Krasnoludek wysłuchał jej uważnie i zamyslił się.

— Hm, wiadomo, że elfy to najlekkomyślniejsze stworzenia pod słońcem i nikt z nas, poważnych krasnoludków, takby nie postąpił. Znam zbożownika, to ulubieniec króla elfów i, jak na swój młody wiek, piastuje bardzo wysoką godność opiekuna zbóż. Nic dziwnego, że zachowuje się czasem, jak niesforny dzieciak, zupełnie nieodpowiednio do swego wysokiego urzędu. No, ale nic nie pomoże biadać, musimy elfa odnaleźć. Ponieważ jesteś Liną, tą małą dziewczynką, którą tak kochają zwierzęta i rośliny, pomogę ci więc najchętniej. I wiesz, pocieszę cię, że nietrudno będzie odnaleźć zbożownika. Dziś właśnie przypada rocznica koronacji króla elfów i będzie wydany wspaniały bal, na którym obecny będzie cały las. Wystaram się, oczywiście, o zaproszenie dla ciebie i twego psa. Pewien jestem, że elf zbożownik przybędzie również. Wtedy odnajdziemy go i natrzemy mu porządnie uszu.

Lina ucieszyła się niezmiernie i serdecznie dziękowała uprzejmemu krasnoludkowi. Cieszyła się, iż będzie na prawdziwym balu elfów; o takich balach czytała dotychczas tylko w bajkach. Nadszedł Hermes, który obudził się wreszcie i jeszcze parę zwierząt w odwiedziny do krasnoludka. Przyszedł puszysty tchórz, jeź, lisek włóczęga, zjawyły się dwie myszki polne, wiewiórka i zabawiano się rozmową. Lina dowiedziała się różnych ciekawych rzeczy z życia owadów i zwierząt. Słuchała uważnie i siedziała grzecznie i cichutko, to też podobała się wszystkim ogromnie i każdy prosił ją już zawczasu do tańca na przyszłym balu. Tymczasem zmrok zapadał. Pojawiły się elfy, barwne, jak



Siedziała w nim królewska para elfów.

skrzydlate kwiaty i zaczęły przygotowywać salę balową pod wielką sosną na polance. Przyleciały robaczki świętojańskie i, usiadłszy na krzewach, jak rój gwiazd, oświetlały polanę. Przywędrowała orkiestra świerszczów ze skrzypcami, paprocie zakwitły obficie; przecudne różowe i białe kielichy naparstnic świeciły, jak różnokolorowe latarnie, gdyż we wnętrzu każdego kwiatu siedział świetlik. Lina przyglądała się wszystkiemu z zachwytem i Hermes stał nieruchomo obok niej, mrużąc olśnione oczy.

Wkrótce zaczęli się schodzić goście: pszczoły, osy i żuki, szczury polne, zające, jeże, nadleciały szczebiotliwe ptaki, a wkońcu zjawili się mocarze boru: lisy, wilki, jelenie i sarny. Lina zauważyła ze zdumieniem, że sarny i jelenie siedziały obok wilków, zające obok lisów i nikt nikomu nie czynił krzywdy. Prawo gościnności obowiązywało wszystkich.

Stawiły się również tłumnie krasnoludki i elfy.

Około północy przy dźwiękach muzyki świerszczów pojawił się rydwan, ukwiecony, zaprzężony w dwie jaskółki. Siedziała w nim królewska para elfów. Rozległy się powitalne okrzyki i wiaty, kilka orkiestr jednocześnie grać zaczęło od ucha i rozpoczął się bal. Tak wspańskiego balu Lina nigdy jeszcze nie widziała. Bawiła się na nim doskonale i tańczyła do upadłego; gdyż coraz to ktoś ją zapraszał do tańca: krasnoludek, lis i wiewiórka, zające i myszki.

Wtem zatrzymał tańczącą dziewczynkę krasnoludek.

— Spójrz — zawołał — oto nadleciał elf zbożownik, czy to ten, poznajesz go?

Lina poznała odrazu elfa zbożownika po czerwonych skrzydełkach i złotej sukience. Tańczył właśnie z jedną z księżniczek elfów. Śmiał się wesoło, a jego śliczne oczy świeciły, jak błękitne gwiazdy. Krasnoludek, wzięwszy Linę za rączkę, przecisnął się przez tłum tańczących i pociągnął elfa za sukienkę. Zbożownik obejrzał się i, nagle ujrawszy Linę, przypomniał sobie wszystko. Puściwszy z objęć swoją księżniczkę, zwrócił się ze skruczą do dziewczynki.

— Lino, małeńka Lino — zawołał, — wybac mi, że zapomniałem o danem ci przyrzeczeniu i mimowoli uczyniłem ci krzywdę. Jakże ci to wynagrodzę?

Pary tańczące zatrzymywały się jedna po drugiej i okrążyły Linę i elfa. Król elfów zaciekawiony zapytał o przyczynę zbiegowiska. Zbożownik z krasnoludkiem wzięli Linę pod rękę i przedstawili ją królewskiej mości. Elf pokornie opowiedział przygodę Liny, a król zmarszczył gniewnie brwi i rzekł:

— Jesteś niepoprawnym roztrzeпаńcem, zbożowniku. Niedotrzymanie danego słowa jest rzeczą nieszlachetną i niegodną elfa, udzielam ci publicznej nagany. Dzięki twemu roztargnieniu mamusia Liny gorzko oplakuje stratę swojej córki, a niema większego zła, jak zranić serce matki. Linie zaś musisz wynagrodzić wyrządzoną jej przykrość.

Elf skruszony zwrócił się do dziewczynki i podał jej swoją łaseczkę.

— Na przeprosiny ofiaruję ci, miła dziewczynko, swoją czarnoksięską pałeczkę, a sam przez rok będę pozbawiony mocy czynienia przemian, dopóki nie zasłuży na nią znowu. Łaseczka moja ma tę własność że, jeśli nią dotkniesz jakiegokolwiek przedmiotu, lub osoby, zamieni się ona, w co zechcesz.

Lina podziękowała serdecznie elfowi, co widząc, król spojrział łaskawie na swojego faworyta. Dziewczynka chciała zaraz wypróbować moc czarnoksięskiej łaseczki i zamienić w kota Hermesa, który grzecznie, lecz stanowczo wymówił się od tej próby.

Zabawa rozpoczęła się na nowo i trwała aż do chwili, w której błękitny świt zaglądać począł w gęstwinę liści i pod kapelusze grzybów.

Goście poczęli się zbierać do powrotu. Pogasty latarki świetlików, orkiestry świerszczów podążyły do swych mieszkań. Wszyscy żegnali dziewczynkę najczulej, zwierzęta i ptaki, krasnoludki i elfy. Król elfów dał jej miłościwie swą rękę do ucałowania, a las szumiał śliczną piosenkę na pożegnanie.

Przed wrotami ogrodu rodziców Lina zeskoczyła z grzbietu Hermesa i, uderzywszy się czarnoksięską pałeczką, już jako duża dziewczynka weszła do domu. Jakaż była radość mamusi, gdy ujrzała swą jedynaczkę, którą już miała za straconą, tego opisać niepodobna!

Z. Szymanowska.

# NIEUDANA WYCIĘCZKA ZA MIASTO PIĘSKA PIKUSIA



## O CIĘCIWIE ZULUSKIEGO ŁUKU I O FORTEPIANOWEJ STRUNIE.



... staje się dźwięczącą struną.

Czarnoskórzy Australczycy walczą włócznią, dzirytami, maczugą, walczą dzidą i bumerangiem. My, biali i żółci, Europejczycy, Amerykanie, Chińczycy i Japończycy mamy broń inną — bagnety, które przebijają serca, gazy, wygryzające oczy, łodzie podwodne, dalekonośne działa.

A czy wiecie, że w Afryce, pod zwrotnikiem Koziorożca, u wybrzeży Oceanu Indyjskiego żyje lud jasno-bronzowych Zulusów, którzy gardzą dalekonośnym łukiem, jako bronią tchórzów?

W innym a piękniejszym celu używa swego łuku dziki barbarzyńca — Zulus.

Oto stoi nad brzegiem morza, w dłoniach łuk, strzały pozbawiony, trzyma i zaostrzonym patykiem potrąca napiętą cięciwę. A wtedy cięciwa ożywa, poczyna drgać i staje się dźwięczącą struną.

Czy wiesz co należy uczynić, aby na jednostrunym łuku móc wygrywać melodie? Zulus wie. Wie,

że krótszy kawałek struny inaczej dźwięczy, niż długi, nanizal więc pierścień kościany na cięciwę i, przesuwając go po niej, skraca lub wydłuża tę część struny, którą do drgania pobudza.

Uwiąż jakiś ciężarek na końcu sznurka. Drugi koniec sznurka umocuj tak, jak to zrobił Tomek tu, obok, na rysunku.

Tomek potrącił zawieszony na sznurku ciężarek i oblicza z sekundnikiem w rękę, ile razy w ciągu minuty ciężarek wahnie się w jedną i w drugą stronę. A potem Tomek chwycił palcami i przytrzymał sznurek koło środka i potrącił ciężarek po raz drugi. Ciężarek wahał się teraz częściej, niż poprzednio. — Czy sprawdziłeś już, że tak jest naprawdę? Jeśliś tego nie uczynił, nie czytaj dalej.

Wahadło Tomka i Twoje drga tem częściej, im jest krótsze. Także i struna łuku Zulusa drga tem częściej, im jest krótsza. A im częściej drga, tem wyższy, tem cieńszy głos wydaje.

Zulus stoi nad brzegiem szumiącego morza, patykiem zaostrzonym strunę - cięciwę potrąca, pierścień kościany przesuwając po niej — gra...

A to kto?

O, to jest rysunek z przed wielu tysięcy lat. Przedstawia Egipcjanina, grającego na harfie.

Spójrz, jaka ta harfa podobna jest do łuku, na którym jeszcze dzisiaj grają Zulusi.

Dawniej i w Europie często grano na harfach.

Były one doskonalsze, niż egipskie, miały wiele strun różnych długości i grubości.

A ponieważ trudno było szarpać palcami tyle silnie naciągniętych strun, wymyślili rzemieślnicy, czyniący instrumenta, takie urządzenie: ułożyli harfę w pudle, a pod strunami umocowali młoteczki, połączone z klawiszami.

Nacisnąć klawisz, a młoteczek podnosi się i uderza o strunę.

Taki instrument nazywa się fortepian.

Czy umiesz grać na fortepianie?

A może na skrzypcach, albo na mandolinie czy gitarze?

Grają nie wszyscy, ale wszyscy pewnie słuchają muzyki przez dobrze ci znane radio.



Egipcjanin z harfą.



Wahadło Tomka.

Kiedy nałożysz słuchawki radiowe na uszy, przypomnij sobie, że pierwszą struną, dźwięczącą podobnie do fortepianu i skrzypiec, była cięciwa łuku Zulusa. Stoi teraz ten Zulus, być może, nad brzegiem szumiącego Indyjskiego Oceanu i wygrywa szybką, słoneczną, radosną pieśń podzwrotnikowego świata.

Wygrywa pieśń — jak przed tysiącami lat na podobnym instrumencie czynił to Egipcjanin.

Warto o tym wszystkim pomyśleć w tym miesiącu, czerwcu, kiedy w Waszych szkołach urządzone są uroczystości na cześć pieśni.

*Stefan Themerson.*

8)

## NOWA ARKA NOEGO.

*Napisał Mieczysław Krzepakowski.*

Dokończenie.

W wielkim, o szerokich oknach pokoju, z których roztaczał się wspaniały widok na morze, siedział siwowłosy czerstwy starzec. Koło niego zasiadł chłopiec z książką w ręku.

— Przyszedłem do ciebie, dziadziu, żebyś ty wytłumaczył Sławusiowi, że to wszystko, co jest opisane w tej książce, to nie jest bajka, tylko prawda, że twój tatuś naprawdę zbudował samolot z samochodu, który wiozł na wielkim okręcie pan Richard.

— A Sławuś ci nie wierzy?

— Nie, dziadziu, choć tatuś mu już też mówił, że to prawda, choć sam tego nie widział.

Dziadek wstał z metalowego sprężystego fotela i podszedł z chłopcem do okna.

— Spójrz tam, wnuczku, — wskazał na port, w którym dymiły parowce i białe żagle. — Sześćdziesiąt lat temu był tu zupełnie pusty brzeg. Byłem wtedy małym chłopcem, kiedy do tego brzegu przybił wielki okręt. Ziemia cała była zupełnie zniszczona przez wielką katastrofę. Trzeba było wszystko na nowo budować: domy, maszyny. Ale mimo, że wszyscyśmy cierpieli głód i niewygody, mali i duzi wzięliśmy się do pracy i już w przeciągu paru lat zaledwie mieliśmy samochody, samoloty, domy dość wygodne, szkołę, która była najpiękniejszym budynkiem w całej nowopowstałej osadzie, którą przezwano „Ocalenie”. Ze wszystkiego, co istniało na ziemi, ocalał jeden tylko okręt i gromada ludzi, którzy na nim się znaleźli. Ale na tym okręcie była biblioteka, składająca się z bardzo wielu książek. Dzięki tym książkom, wiadomościom w nim zawartym, mogliśmy odbudować cywilizację starej Ziemi, cywilizację jeszcze piękniejszą, bośmy unikali błędów, które popełniały dawne pokolenia.

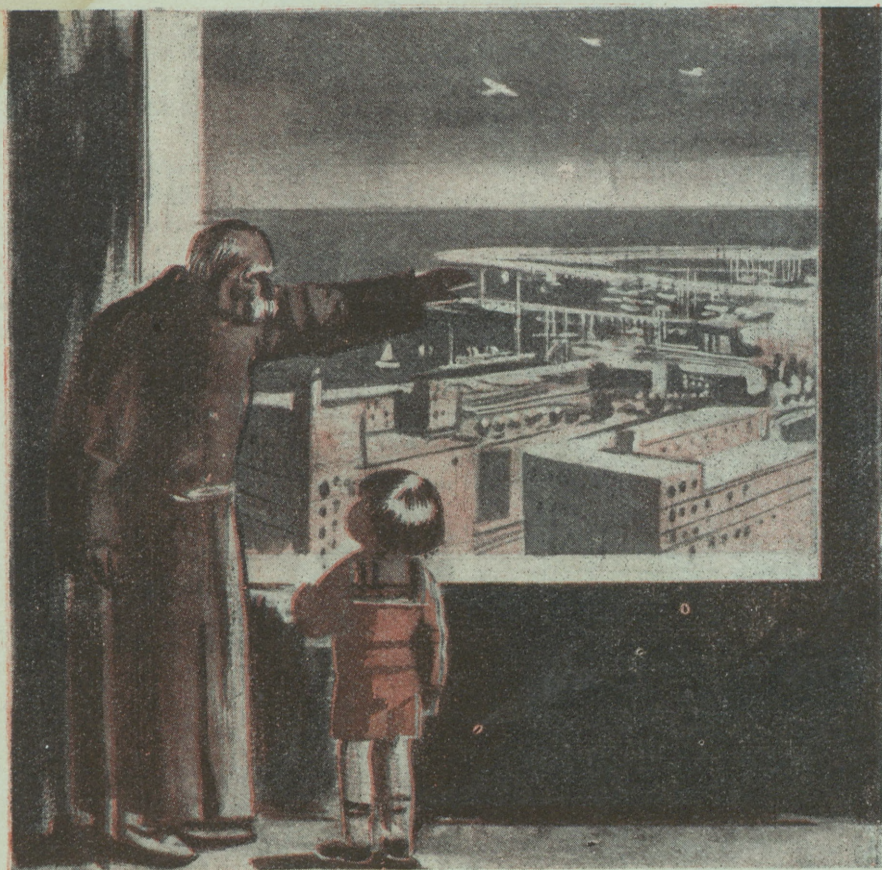
Nieodrazu osiągnęliśmy wszystko i niełatwo doszliśmy do tego, co posiadamy obecnie. Stawały nam na przeszkodzie wybuchające nieśnaski, zawiść, czasem nie licząca się z niczem rywalizacja. Przychodziły chwile zwątpienia i zniechęcenia.

Spadały na nas klęski i z winy sił przyrody nieokiełznanej i z naszej własnej. Wkradała się wówczas bieda i niepokój. Zwyciężyła jednak dobra wola i pragnienie zgody, a w dniach klęski — hart ducha.

Urządzenia na okręcie, dzięki wiedzy ocalonych uczonych i inżynierów, pozwoliły nam odbudować maszyny, wykryć miejsca cennych kopalin i przerabiać je na stal, żelazo, benzynę.

Postępując zgodnie i rozumnie, tracąc jak najmniej sił na sprzeczki i utarczki, które tak wiele szkody wyrządzają ludzkości, w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu dokonaliśmy wiele więcej, niż nasi przodkowie przez stulecia. Nie niszczyliśmy bowiem w barbarzyńskich wojnach tego, cośmy wytworzyli.





— Spójrz tam, wnuczku...

Pozwoliśmy pracować naszym uczonym w spokoju, to też obdarzyli nas wynalazkami, o jakich zaledwie marzyli nasi przodkowie. Choć jest nas tak mało na Ziemi; mamy wspaniałe samoloty, mogące przebywać wielkie przestrzenie w bardzo krótkim czasie; mamy szkoły, które tyle radości przynoszą tobie i twoim rówieśnikom.

Zyskaliśmy przytem i utrwaliśmy w naszych sercach największy skarb: umiemy się miłować nawzajem wszyscy bez obłudy!..

— To biedni byli dawni ludzie! — zawołał chłopiec. — Ty, dziadku, choć jesteś ten „stary” człowiek, już też jesteś inny, choć byłeś między ludźmi, którzy sprzeczali się ze sobą i nienawidzili się... Kiedy ja dorosnę i moi koledzy, będziemy pracowali dalej, jak ty, jak tatuś, by świat uczynić jeszcze bardziej radosnym i szczęśliwym.

K O N I E C.

## P I L O T.

Gdy urosnę duży, to będę pilotem.

Wzniosę się do góry cudnym  
samolotem.

Będzie błyszczał w słońcu,  
jak gołębie piórka.

Nikt go nie dogoni: ani wiatr,  
ni chmurka.

Przelecę nad lądem i nad  
oceanem,

bo jak ptak — przestrzeni tych  
ja jestem panem.

Więc choć motor warczy  
a wiatr w oczy dmucha,  
nic mnie nie przestrasza,  
nawet zawierucha.

Uwaga: Można śpiewać na nutę: „Krakowiaczek ci ja”. M. D.



PODKUJĘ CIĘ, KONIKU: ZAWIEZIESZ MNIE NA WAKACJE!

42/43)

## TAJEMNICA HOGGARU.

*Napisał L. Życki-Malachowski.*

Dokończenie.

## KU NOWEMU ŻYCIU.

W dwa dni po opisanych wypadkach odbyła się w pałacu ameno-kala Ahammuka Ag Ihemmy uczta, na której znaleźli się wszyscy nasi znajomi oraz nieznaną nam dotychczas żona starego wodza, Francuzka, z domu Durand. Pani ta przybyła aeroplanem wprost z Paryża, dowiedziawszy się o odnalezieniu dawno opłakanego i może nawet zapomnianego brata. Jakaż zmiana... Ten siwobrody starzec, o śniadej, prawie murzyńskiej cerze, miałby być jej bratem? Fryzjer i krawiec osady zdolali już zatrzeć ślady tak długo znoszonej nędzy, o której świadczyły teraz tylko umęczone, prawie zaświatowe oczy.

Uczta odbywała się na sposób wschodni, jedynym wyłomem od obowiązujących zwyczajów była obecność na niej kobiety. Lecz amenokal Ahammuk w długiej mowie wyjaśnił swym poddanym, że obecnie otwiera się furta nowych czasów. Należy znieść już te zwyczaje, które były dobre a może i konieczne w epoce życia koczowniczego na pustyni, natomiast trzeba wprowadzić zwyczaje ludzi osiadłych i roztropnie naśladować te narody, które przez swoją umiejętność życia przodują światu.

— Nadszedł moment — mówił wódz, — że dzięki pomocy szlachetnych Polaków możemy stworzyć z bezpłodnej pustyni raj na ziemi i mieć chleba więcej, niż go można zjeść pod namiotami najbardziej głodnych nomadów. Dzięki ich pomocy, każdy z koczowników, który się zgłosi, dostanie tyle ziemi, ile tylko uprawić zdoła, pod warunkiem, że zastосуje się do praw tworzącego się państwa Sahary.

Potem Ali przeczytał projekt konstytucji nowego państwa, opracowany przez siebie, oparty na szlachetnych, wolnościowych podstawach, któryto projekt został przyjęty z radością.

Wreszcie pan Łamicki przedstawił położenie w zakresie wielkiego dzieła nawadniania. Dzięki odkryciu doliny, którą nazwano Doliną Duranda, uda się przeprowadzić poprzez nią od jeziora wielki kanał, przebijając tunel przez skałę, odcinając dolinę od świata, która zresztą jest niezbyt wielkiej grubości. Da to nieoczekiwaną nadwyżkę 200 tysięcy hektarów i pozwoli osadzić na roli sto tysięcy rodzin w przeciągu miesiąca.

Na skutek odkrycia żyły złota, wprowadzie niezbyt imponujących rozmiarów, ale jednak mogącej dostarczyć dostatecznej ilości środków pieniężnych na zbudowanie urządzeń nawadniających w obrębie Hoggaru, państwo przeprowadzi wszystkie inwestycje tak, że pierwsi koloniści mogą być zwolnieni na dwa lata od wszelkich opłat na rzecz skarbu, otrzymując wszystko darmo.

Wskutek odnalezienia jeziora, ogromnie została ułatwiona sprawa wybudowania wielkiej centrali elektrycznej, gdyż kwestja zamknięcia je-

ziora jest o wiele łatwiejsza, niż budowanie tamy w rzece o nadzwyczaj wartkim prądzie, jak to było początkowo projektowane.

Zkolei Teleforek zrobił wszystkim niespodziankę, przedstawivszy model pompy-wiatraczka, dającej się zastosować w każdym gospodarstwie do pompowania wody z kanału do wyżej położonych pól. Wynalazek chłopca zyskał uznanie fachowców i pan Łamicki przyrzekł, że jedną z pierwszych fabryk będzie fabryka, wytwarzająca owe pompy Teleforaka.

Po uczcie odbyła się uroczystość wywieszenia po raz pierwszy flagi państwa Sahary, czerwono-złotej, oraz godła państwowego: złotego lwa na czerwonym polu.

Po tej pamiętnej uczcie, będącej uroczystością proklamacji nowego państwa, wszystko szło dalej normalnym trybem.

Miernicy po całych dniach odmierzali tereny pod uprawę, które zaraz zostały obejmowane przez rodziny koczownicze. W osadzie, którą na cześć Polaków nazwano „Lechja”, powstawały coraz to nowe gmachy fabryk, szkół i urzędów. Przemysłiwano o budowie linii kolejowej, mającej połączyć Hoggar z portem Oranu.

Wujaszek Zadora badał niestrudzenie bieg podziemnej rzeki i dokonywał wierceń, mających określić najdogodniejsze miejsca do budowania pomp-studzien na pustyni.

Teleforek ogromnie spowaźniał od czasu, jak go ojciec postawił na czele małego oddziału fabryki, wyrabiającego pompy jego pomysłu. Oprócz sporego zakresu zajęć w fabryce, przygotowuje się całkiem serjo do matury. Nie opuszcza go też marzenie stworzenia na Saharze dużej kolonii polskiej i ma nawet w tym celu przybyć do kraju.

Prawdopodobnie wkrótce zatem zobaczymy go w Warszawie i będziemy mogli posłuchać opowieści o jego przygodach. Narazie najlepiej opowiada o nich Wandeczka, obecnie bardzo dumna ze swego brata. Wygląda go ona wraz z mamusią z ogromną niecierpliwością.

Również niecierpliwie wyczekuje go pewna młoda osóbką, imieniem Fatma, która dopięła już swego celu i obecnie uczęszcza na pensję w Paryżu, przygotowując się z woli ojca do życia kobiety europejskiej.

Lecz stary Durand nie mógł się przystosować do nowego życia. Wszystko dlań było takie obce!

Więc starzec usunął się dobrowolnie z pośród ludzi i zamieszkał na najwyższym górskim szczycie Hoggaru, zwanym Tamanrasset. Jest to góra święta dla Tuaregów, gdyż według ich podań prorok Eljasz, jadąc na ognistym wozie do nieba, uderzył w nią mieczem. Wskutek tego w górskim szczycie uczyniła się szczyrba, zwana do dziś dnia „Szczerbą Eljasza”.

Tam, w tej szczyrbie zamieszkał Durand i wkrótce zasłynął, jako święty, czyli „marabut”.

Szły do niego całe pielgrzymki Tuaregów, a on ich uczył trudnej sztuki wejścia na drogę wielkiej cywilizacji europejskiej.



MALY MANDZUR.

## K A S I E Ń K A.

Postuchajcie, kochane dzieci, historii pewnej sierotki, którą przeszłej wiosny wzięliśmy na wychowanie.

Liczyła wtedy zaledwie kilka godzin życia, jesienią zaś wyprawiliśmy ją w świat jako już dorastającą młodą osobę.

— Może myślicie, że to bajka?

— Wcale nie! Najprawdziwsza prawda!

Jeżeli nie wierzycie, zapytajcie mojego syna, Jurka, który był przybranym ojcem sierotki. Ja oczywiście byłam matką.

Powiadam wam: co to za śliczne było dzieciątko! Malutkie, tłuściutkie, z czarnymi oczkami, całe pokryte... żółciutkim puszkciem. Dziobek miało płaski i biegło śmiesznie na krótkich, niezgrabnych nóżkach. Zapewnie już się domyślacie, że była to mała kacuszka!

Wylęgło się biedactwo samo jedno.

Nasza gospodyni, u której to się stało, powiedziała, że za żadne skarby świata nie pozwoli na to, żeby kwoka wodziła jedno kaczę. Dopieroż śmiałyby się sąsiadki, gdyby się dowiedziały o jej niepowodzeniu w hodowli!

Nie. Nigdy nie dopuści do takiej kompromitacji... Raczej tebek ukręci kaczęciu!

Na to znowu my nie mogliśmy pozwolić.

— Jakto?! Takie małe, śliczne stworzonko, które dopiero z jajka wyjrzało na świat boży i przypatruje mu się ciekawie swemi czarnymi oczkami, ma zginąć marnie?

— Nie! Trzeba ratować kaczątko.

— Trzeba... Ale jak? Co począć?

Urządziliśmy naprędce naradę rodzinną i postanowiliśmy jednogłośnie wziąć kacuzkę na wychowanie.

Gospodyni była gotowa oddać nam sierotkę „za swoją” za cenę kaczego jajka, t. j. za 30 groszy.

Jurek chwycił żądane pieniądze i jak strzała pobiegł po kaczątko. Za chwilę wrócił, tuląc do piersi piszczące niemowlę. Wyszukaliśmy zaraz niedużą skrzyneczkę, wysłaliśmy ją pierzem i włożyliśmy kacuzkę do tego gniazdka. Zdawało nam się, że gniazdko powinno być bardzo ciepłe i wygodne, tymczasem kaczątko zaczęło pisać wniebogłosy i usiłowało wyskoczyć ze skrzynki.

— Ono na pewno jest głodne!... — powiedział Jurek. — Zaraz je nakarmię.

W tej chwili odwołano mię do kuchni w jakiejś sprawie obiadowej. Kiedy wróciłam, ujrzałam taki obrazek: Jurek siedział na ziemi, jedną ręką przytrzymywał na kolanach kaczątko, a w drugiej ręce miał butelkę ze smoczkiem — własność młodszego braciszka, Bobusia. Mlekiem z butelki częstował usilnie kacuzkę, która ani rusz nie chciała wziąć smoczka do dziobka i wykręcała się, jak mogła.

— Jurek, co ty robisz? — zawołałam ze zdziwieniem. — Mlekiem karmisz kaczątko?

— Przecież jak chciałem dać Bobusowi kielbasy, to mamusia sama powiedziała, że noworodki jadają tylko mleko...

Wy tłumaczyłam Jurkowi, że „piskłę” ludzkie i piskłę kacze to zupełnie to samo i że lepiej będzie, gdy kacuzszce damy trochę posiekanego jajka. Tym razem trafiliśmy jej do gustu, bo nie wykręcała się wcale, tylko „wsuwała” jajko, aż jej się uszy trzęsły.

Po tej uczcie wsadziliśmy kaczątko do skrzynki, ale ono, zamiast spać grzecznie, znowu rozpoczęło głośny lament.

Nie było rady: musiał Jurek wziąć je na ręce. Kacuzszka zaraz się uspokoiła i, szukając cieplejszego kącika, chciała wejść pod skrzydełko przybranego tatusia. Niestety! Tatus skrzydełek nie miał...

Kacuzszka jednak poradziła sobie. Zobaczywszy, że letnia bluzeczka Jurka była trochę rozchyłona na piersiach, wślazła Jurkowi w zanadrze.

— Ojoj, jak ona mię łaskocze! — piszczat Jurek,

Ale nie wyjmował kacuszki, bo mówił, że tam jej na pewno tak ciepło, jak u rodzonej matki.

Mnie jednak niebardzo podobało się to wszystko, wyszukałam więc dość dużą białą szmatkę i chciałam na wszelki wypadek owinać w nią kaczątko, jak w pieluszkę.

Poleciłam Jurkowi wyjąć „córeczkę” z zanadru. Nie było to takie łatwe, jakby się mogło zdawać, bo kacuszka powędrowała mu na plecy i nie mógł jej tam dostać. Wzięłam się więc sama do chwytania kaczkę na Jurkowych plecach, no, i wreszcie mi się to udało. Owiniłam kaczątko w pieluszkę i zpowrotem włożyłam ją „tatusiowi” pod skrzydełko.

Jurek wyszedł na dwór. Widziałam przez okno, jak siedział sztywno i nieruchomo na trawie. Nawet z dziećmi sąsiadów nie chciał się bawić. Powiedział im, że nie może, bo dziecko usypia...

Gdy nadszedł wieczór i stare kaczkę zabierały się do spania, poleciłam skrzyneczkę postawić koło pieca kuchennego, włożyć kaczątko do skrzyneczki i nakryć je ciepłym, flanelowym gałgankiem. Jurek bał się, że kacuszka się obudzi, że znów zacznie „lamentować”, że będzie jej w nocy zimno i smutno samej, że może nawet będzie się bała... Podejmował się więc siedzieć całą noc na otomanie z kaczątkiem w zanadru.

Wytłumaczyłam mu, że chociaż bardzo cenię jego poświęcenie dla przybranej córeczki, nie mogę na to pozwolić.

Nazajutrz przybiegł Jurek zaferowany i oznajmił mi, że trzeba koniecznie ochrzcić naszą kacuszkę, bo wszyscy go pytają, jak jego córeczce na imię, a on nie wie, co na to odpowiedzieć.

Zaczęliśmy się naradzać, jakie imię dać kacuszce.

Nie była to łatwa sprawa, bo powiedzcie tylko, czy znacie jakie kacze imiona? Gdyby chodziło o psa, najmniejsze dziecko wiedziałoby, że można go nazwać As, Burek, Kruczek, czy coś w tym rodzaju. Mruczuś, Kizia, Filuś — to kocie imiona. Ale jak nazywają kaczkę — nie mieliśmy pojęcia...

Przypomniałam sobie, że czytałam kiedyś w zamierzchłych czasach o kacuszce „Żółtobruszce”, ale imię to wydawało nam się niezbyt ładne i za długie. Proponowałam następnie „Cytrynka”, ale i to imię nie znalazło uznania.

Widząc, że nie mogę nic wymyślić, Jurek pobiegł po radę do tatusia (jak mówił, do dziadzia kacuszki).

Tatus naprzód zaproponował „Żółtaczka”, a wiadomo przecież, że to nie żadne imię, tylko taka choroba; potem radził „Kaczeniec”, bo to i żółty i wogóle bardzo odpowiednie imię dla kaczkę... Naturalnie, że imiona te były do niczego, „imiona z pod ciemnej gwiazdy” jak mówił Jurek.

Zdawało się, że już nic nie wymyślimy, kiedy przyszło mi szczęśliwie na myśl, że skoro kanarek może się nazywać Maciuś, a wróbel Wojtek, to kaczkę można nazwać Kasia.

Imię to podobało się wszystkim, postanowiliśmy więc jeszcze tego popołudnia urządzić chrzciny.

Tu jednak zjawiła się nowa przeszkoda...

Marysia, która była obecna przy naszych naradach, powiedziała, że to grzech wyprawiać chrzciny kaczkę i że ona nigdyby tego nie zrobiła.

Jurek spojrzął na mnie pytająco.

Prawdę powiedziaławszy, nie wiedziałam, co o tem myśleć. Na wszelki jednak wypadek powiedziałam, że można zrobić zamiast chrzciny — postrzyżyny.

Jurek pobiegł zaraz z córeczką w zanadru zaprosić na postrzyżyny Jędrusia i Danusię — dzieci sąsiadów. Goście przyszli o 5-ej po południu wystrojony, z uroczystymi minami, z czego kaczątko, a jeszcze bardziej jego tatus były bardzo dumny.

Uroczystość zaczęła się natychmiast.

Jurek się przebrał w starą jedwabną piżamę, przepasał się ręcznikiem kąpielowym i udawał pogańskiego kapłana. Kapłan się naprzód pokłonił w cztery strony świata, później długo mrucał modlitwy i tajemnicze zaklęcia, a wreszcie obciął pożywkami odrobinę puszkę z żółtego łebka dziecka i powiedział głośno:

— Od tej chwili będziesz się nazywała Kasia! Powtarzam — Kasia, Kasia, Kasieńka!

Po tej ceremonii zaczęła się wesoła uczta, podczas której kapłan pogański tak dokazywał, że o mało nie dostał w skórę od swojego tatusia.

\*

Kasieńka chowała się dobrze. Rosła tak prędko, że po kilku dniach przestałmy ją nosić na rękach, ponieważ uważaliśmy, że już wyrosła z wieku niemowlęcego.

Coprawa — teraz było jeszcze gorzej! Kasia biegła za nami krok w krok i trzeba było bardzo uważać, żeby jej nie rozdeptać. Przytem trzeba było chodzić bardzo powoli, bo Kasia nie mogła nadążyć. Kołysząc się zawzięcie, pędziła niczem zawodnik na wyścigach, ale było to widocznie przeciwne jej kaczaj naturze, bo bardzo się męczyła.

Teraz zostawała częściej pod moją opieką, gdyż tatuś jej całymi dniami hasał z chłopcami po polach i łąkach. Gdy córeczka nasza trochę podrosła, zostawiałam ją nieraz samą na podwórku, ale gdy tylko tam się zjawiłam, Kasia biegła do mnie i, pokwakując przyjaźnie, przekrzywiała lebek i spoglądała na mnie swym okrągłym, czarnym oczkiem. Czasem, chcąc zrobić jej przyjemność, łapałam muchy i dawałam jej do dzióbka. Był to jej największy przysmak!

Podczas polowania na tę zwierzynę Kasia niecierpliwie dreptała koło mnie, coraz spoglądając ku górze. Na podawaną sobie muchę rzucała się gwałtownie i połykała ją z wielką żarłocznością.

Po południu, kiedy upał nie tak dokuczał, rozścielałam zwykle koc na trawniku w ogrodzie i kładłam się z książką w rękę, aby trochę poczytać.

Niestety! Niedługo było mi dane zażyć błógiego spokoju... Ledwie przeczytałam parę kartek, zjawiała się panna Kasieńka. Jak ona potrafiła mię tu wtropić, nie mam pojęcia!

Kiwając na przywitanie główką i pokwakując, pakowała się bez ceremonji nietylko na koc, ale wprost na mnie. Wskakiwała naprzód na nogę, a potem wędrowała dalej, szukając jakiegoś wygodnego miejsca, żeby się ułożyć i uciąć sobie drzemkę. Niebardzo mi się to podobało, więc odpędzałam się od Kasi jak mogłam, zwykle jednak bezskutecznie.

Na szczęście, kiedy Kasia z małego żółtego kaczątka stała się białą kaczką, połączyła się z innymi kaczkami, które były na podwórku, i swoim przybranym rodzicom nie robiła już tyle kłopotu. Jadała jednak zawsze oddzielnie. Kiedy była głodna (a zdarzało się to bardzo często, bo kaczki mają wilczy apetyt), przychodziła pod nasze drzwi i upominała się o posiłek wielkim głosem.

Gdy czas było spać wieczorem, wychodziłam na podwórko i wołałam: — Kasiu, Kasiu! — Kacuszka w tej chwili porzucała towarzystwo i przychodziła do mnie, a ja ją wpuszczałam do drwalki, gdzie sypiała.

Córeczka nasza była już zupełnie dorosła, kiedy mieliśmy powrócić ze wsi do miasta. Niewiadomo było, co z nią zrobić... Jurek błagał, żeby zabrać Kasię z sobą, ale było to niemożliwe. Okrutna Marysia zaproponowała, żeby ją zabić i upiec na drogę.

Projekt ten odrzuciliśmy oczywiście z oburzeniem.

Wkońcu stanęło na tem, że oddamy ją Jędrusiowi i Danusi, których rodzice obiecali, że będą chować Kasieńkę, dokąd tylko będzie żyła.

Przy rozstaniu z córeczką tatuś splakał się jak bóbr, choć uważał się już za mężczyznę, któremu lzy nie przystoją.

Z listów Jędrusia i Danusi, którzy korespondują z Jurkiem, wiemy, że Kasia żyje, jest zdrowa i dobrze jej się powodzi. Do nowych swych opiekunów nie ma już takiego zaufania, jakie miała do nas, i stroni od ludzi tak samo, jak wszystkie inne kaczki, tem się tylko od nich różni, że rozumie, jak na nią zawołać: — Kasiu, Kasiu!

Zofja Żarnowiecka,





## ZAKOŃCZENIE ROKU SZKOLNEGO.

### WASZE MIEJSCE WŚRÓD NAS.

Scena przedstawia harmonijnie rozplanowane wzniesienie z szeregu stopni. Na tle białoczerwonych kotar upozowane nieruchomo grupy: ROLNICY z sierpami i kosami, GÓRNICY z oskardami i lampkami górniczymi, ROBOTNICY i RZEMIEŚLNICY z młotami, kielniami, heblami i t. p., lotnicy i marynarze.

**CHÓR (wszystkich grup):**

Oto zbliża się czas,  
gdym w potrzebie  
miejsca wśród nas  
szukać będziecie dla siebie.

**GŁOS POJEDYŃCZY:**

Przyjrzyjcie się nam uważnie,  
pomyślcie głęboko, poważnie.

**CHÓR:**

Jesteśmy wszyscy pracownicy  
i celem naszym — praca,  
co życie twardem czyni,  
lecz szczęściem je ozdaca!

**GŁOS POJEDYŃCZY:**

Klątwą jest praca dla próżniaków,  
dla niedołęgów, niewolników,  
którzy umieją tylko biadać  
i skarżyć się w bezsilnym krzyku.  
Dla ludzi wolnych — to narzędzie,  
z którym im w życiu dobrze będzie.

**CHÓR:**

Pracą dojdziecie do władzy,  
bogactwa i pomyślności.  
Pracą dźwigniecie kraj nasz  
ku lepszej, jasnej przyszłości.

**GŁOS POJEDYŃCZY:**

Z wielu rodzajów czekającej pracy  
wybierzcie ten, co was najbardziej  
nęci,  
a my, aby ułatwić wam wybór,  
przypominamy się waszej pamięci.

**GRUPA ROLNIKÓW:**

Pracujemy na roli,  
wszakże wiecie o tem,  
Zasiewamy pola

zdrowem ziarnem złotem.

Czuwamy, by kłosa  
wyrosły do nieba  
i wydały z siebie  
dla wszystkich dość chleba.  
Oracze i siewcy,  
kopacze, żniwiarze,  
plon pilnej swej pracy  
braciom niesiem w darze.

**GRUPA GÓRNIKÓW.**

Dnie nasze czarne, jak noce,  
bo je spędzamy w ciemnicy,  
w straszliwych wnętrzościach ziemi,  
my, ludzie pracy, górnicy.  
Ryjąc wytrwale, jak krety,  
skarbów szukamy bez końca:  
sól dobywamy i węgiel,  
co blask da i ciepło słońca.  
Kopiemy rudy metali  
i tak, górnicy my prości,  
pracą swą pilną zwiększamy  
potęgę całej ludzkości.

**LOTNIK.**

Od orłów wzięliśmy rozpęd,  
nieustraszeni lotnicy,  
i dzisiaj niema już dla nas  
przeszkody! niema granicy!  
Nie dbając na śmierć, która czyha  
w przestworzu, ani na rany,  
na samolotach warczących  
ocean zły zdobywamy,  
aby zacieśnić tem węzeł  
braterstwa między ludami.

**MARYNARZ.**

Na morze, na morze,  
na wodne odmetę

spuszczamy ładowne  
handlowe okręty.  
Nie straszna nam głębia,  
nie straszne nam burze,  
gdy polska bandera  
nad nami lśni w górze!  
Wciąż naprzód przez fale!  
Wciąż naprzód przez gromy!  
Choć cel nasz daleki,  
choć brzeg niewidomy.  
Choć droga tak żmudna,  
tak trudna, daleka,  
pod polską banderą  
zwycięstwo nas czeka!

ROBOTNICY I RZEMIEŚLNICY.  
Gdziekolwiek los  
postawił nas na stanowisku,

pojedyńczo w warsztacie,  
czy w fabrycznym ścisku,  
wierni jesteśmy pracy  
i jednacy  
w swoim wysiłku i trudzie.  
Bo wiemy,  
że budujemy  
nowe, szczęśliwe życie.

WSZYSCY.

Z wyciągniętymi ku wam stoimy  
rękami.  
Łączcie się z nami!

SPIEW CHÓRALNY.

*E. Sz. Zarembina.*

### CO MÓWI SZKOLNY DUSZEK TYM, KTÓRZY KOŃCZĄ SZKOŁĘ?

Przed starszym chłopcem staje smukła postać w białej sukience w czerwone serduszka, na jasnych włosach ma złotą przepaskę, w ręku złotą różdżkę. Mówi ona:

DUSZEK:

Nigdyś dotąd mnie nie widział,  
lecz, że szkołę kończysz już,  
więc chcę z tobą oczy w oczy  
mówić dzisiaj.

CHŁOPIEC:

Któż ty jesteś?  
Powiedz, któż?

DUSZEK:

Ja to jestem, dobry duszek,  
co wśród szkolnych mieszka ścian.  
Serca dziewcząt znam wszyściutkie,  
a i serca chłopców znam.

CHŁOPIEC:

Co mi powiesz, szkolny duszku?  
Otom skończył szkołę rad.  
Już nie jestem więcej dzieckiem,  
lecz po męsku idę w świat.

DUSZEK:

Tak. Skończyłeś naszą szkołę  
i odchodzisz od nas teraz.  
Lecz to, czegoś słuchał w szkole,  
wspomnisz sobie w życiu nieraz.  
Bo gdziekolwiek los cię rzuci,  
jakimkolwiek pójdziesz szlakiem,  
wiedz, pamiętaj o tem, chłopcze,  
żeś ty zawsze jest Polakiem.  
Tu słuchałeś słów tych często,  
więc spamiętaj dobrze sobie:  
Z przeszkodami walcz odważnie  
i bądź dzielnym w każdej dobie.  
Całem sercem kochaj ludzi,  
w każdym człeku witaj brata,  
niech się miłość w tobie budzi  
i dla obcych z końca świata.  
Oto, co ci na rozstanie  
przypomina szkolny duszek,  
który strzeże przez lat siedem  
serc chłopaków i dziewczuszek.

*E. Sz. Zarembina.*

### DOWIDZENIA SZKOŁO!

Już się tak strasznie nie chce siedzieć  
w szkole  
i już tak strasznie uczyć nam się  
trudno!  
Biechby się chciało gdzieś daleko,  
w pole,  
za las, nad rzekę, na tę łąkę cudną!  
Najmilsza książka wrogiem się  
wydaje.  
Przyjaciel-zeszyt nuży nas  
i męczy.

Ach, bieć przed siebie, za dziesiąte  
staje,  
zgubić się w woni, w szeleście,  
w barw tęczy!  
Dech lata płynie przez okna otwarte.  
Ptaki śpiewają kusząco, wesoło...  
Ostatnią w książce odwracamy kartę.  
Kropka w zeszyście. Dowidzenia,  
szkoło!

*Helena Duninówna.*

## POŻEGNANIE SZKOŁY.

Melodję ułożył Grot.

**Tempo poloneza**

JUZ WA-KA-CJE, ŻE-GNAJ, SZKO ŁO, COŚ NASTY-LE NA-U-CZY-ŁA  
 RZE-CZY NO-WYCH I CIE-KA-WYCH, NA-SZA DO-BRA SZKO-ŁO MI-ŁA  
 I-LE CU DÓW, I-LE PIĘ-KNA TYŚ W NA-U-CE NAM WSKA ZA-ŁA,  
 NIECH CI ZA TO, POL-SKA SZKO-ŁO, BĘ-DA DZIĘ-KI BĘ-DZIE CHWA-ŁA!

Już wakacje, żegnaj, szkoło,  
 coś nas tyle nauczyła  
 rzeczy nowych i ciekawych,  
 nasza dobra, szkoła miła!  
 Ile cudów, ile piękna  
 tyś w nauce nam wskazała!  
 Niech ci za to, polska szkoło,  
 będą dzięki, będzie chwala!

Jedni stąd już pójdą dalej,  
 a powrócą do cię drudzy,  
 ale wszędzie się poznamy  
 po tem, żeśmy dobra słudzy.  
 A więc, żegnaj! Jak wrócimy  
 z wypoczętą myślą, głową,  
 gwarem, pieśnią, wesołością  
 powitamy cię na nowo.

Stefania Ottowa.

## ŻEGNAJ, SZKOŁO!

Ani się spostrzec można,  
 jak ten czas ucieka.  
 Dopiero się rok zaczął  
 i już go znów niema.  
 Przeszły dni, spłynęły,  
 jakby rwąca rzeka.  
 A ty tu, nasza szkoło,  
 ścianami czterema  
 pozostaniesz zamknięta,  
 cicha, smutna, niema!  
 Albowiem od dzisiaj  
 zaczęte wakacje.  
 Wakacje! Cudne słowo,  
 każdy przyzna rację.

Gdy je wymawiasz,  
 widzisz jakgdyby latawce,  
 wypuszczone swobodnie  
 w dalekie podróże.  
 Albo, że się wywracasz  
 po zielonej trawce.  
 Albo się pluszczasz  
 w chłodnej rzecznej wodzie.  
 A miodek prosto z lipy  
 splywa ci po brodzie.  
 Idziesz w lasy, na łąki  
 a jeśli deszcz pada,  
 czytasz prześliczną książkę,  
 co o dziwach gada.

I tak dzień po dniu  
skończą się wakacje.  
(Choć mogłyby trwać wiecznie —  
przyznacie mi rację).  
Trzeba już wrócić do cię,  
szkoło opuszczona.  
Powrócimy z ochotą  
wśród kolegów grona.

Pocziwa nasza budo,  
szkoło nasza stara,  
dobrą jest twa nauka,  
sprawiedliwą kara.  
Powrócimy, bo choćbyśmy  
nie chcieli,  
przyprowdzi nas wdzięczność  
dla nauczycieli!

*Janina Osińska.*



#### DO TYCH, KTÓRZY KOŃCZĄ VII ODDZIAŁ.

Odchodzicie już. Rozstajecie się ze swojemi szkołami — na zawsze.  
Chcę wykorzystać ten ostatni moment, tę chwilę rozstania, chwilę, którą się dłużej pamięta, niż inne, aby pomówić jeszcze z Wami — ostatni już raz!

Martwiliście się we wrześniu, że do końca roku tak strasznie daleko. A oto to „strasznie daleko” — przeszło, jak moment. A kiedyście przed 7 laty przyszli pierwszy raz do szkoły, nie zdawaliście sobie jeszcze wtedy sprawy, że i one przejdą, jak błyskawica i że to tak krótko będzie...

Przyszliście do szkoły jako maleństwa. Mamusia za rączkę prowadziła małe bobo... Dziś — odchodzicie już, jako młodzież.

Jeszcze moment, a stanięcie się dorosłymi.

Bystronogi jest czas. Nieubłagany jego pęd. Okrutna stałość. Chwila, która przeminie — nie wraca. A wszystko ostatecznie trwa parę momentów...

Ale dziś — jesteście młodzi! Świat stoi przed Wami otworem. Skarbów wbród... A że wiem, żeście hojni i szczodrzy, więc chcę Was przestrzec, byście nie przeszałowali dwóch największych skarbów: młodości i czasu. Bo, gdy raz przeminą — nie wrócą.

To jedno. A teraz drugie. Każdy z Was chciałby być znanym, sławnym, wielkim... Marzycie — i pewnie nie wierzycie, że to marzenie jest osiągalne... Wielkim można być na każdym stanowisku!

Jeżeli Ciebie jako terminatora, czy jako ucznia, rzemieślnika, pracownika otoczy ogólnie zaufanie, ogólna wdzięczność — to jesteś wielkim.

Ale musisz być najlepszym i najsumienniejszym na swej placówce.

Wielkim wtedy będziesz i mocnym, choćbyś spełniał najniższą funkcję.

W rękę jednego dróżnika — spoczywa życie setek...

I jeszcze jedno. Im więcej rozżarzysz i zapalisz jasnych uśmiechów na drodze swego życia, im więcej stworzysz radosnych chwil dla siebie i innych — tem będziesz większy...

Lećcie więc, jak te orły — w świat. Budujcie i twórzcie coraz lepsze życie na ziemi.

*Jan Poźniak.*

#### HEJ! NA ZIELONĄ TRAWKĘ!...

Krakowiak.

Zegnajcie, zegnajcie!  
ściany szkolnej klasy.

Polecę, popędzę  
na letnie wywczasy.

Polecę, popędzę  
na trawkę zieloną.  
A za wami tęsknić,  
hej! nie będę pono.

W mieście dnia jednego  
nie stracę daremnie.  
Boby mi tam łąkę  
skosili beze mnie!

Bez mojej pomocy  
to pachnące siano  
jeszczeby w kopce  
krzywo poskładano.

Hej! jak wsi dopadnę,  
to bez czasu straty

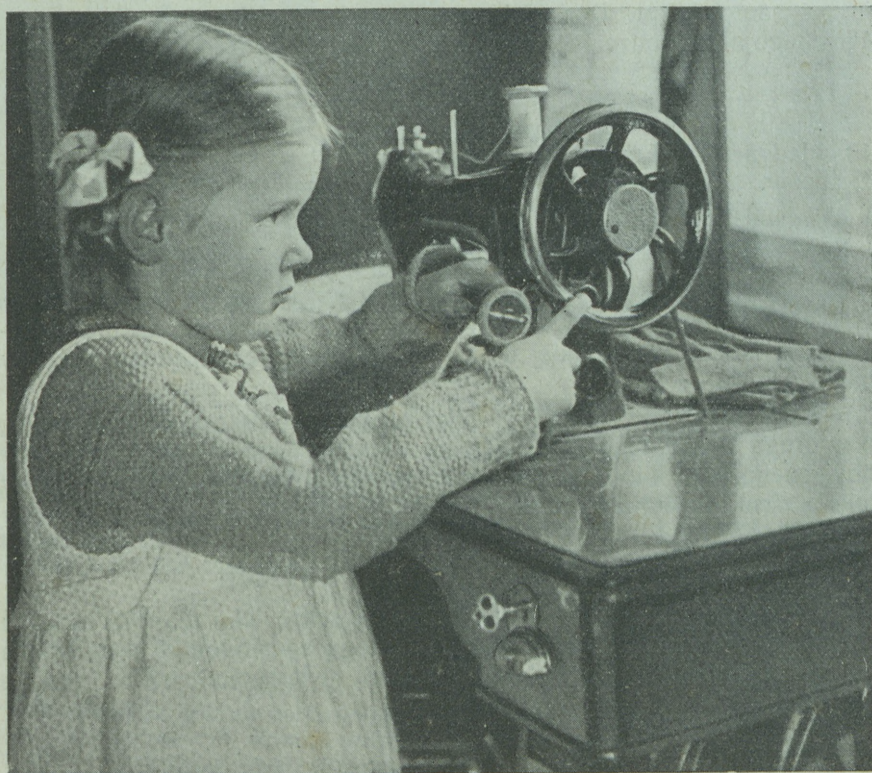
krzepko ujmę w garście  
grabiska zębate!

Będę grabił siano,  
aż mnie zleją poty!  
Będę przyspiewywał  
grabiom dla ochoty!

A jak mnie wśród pracy  
zmoże umęczenie,  
to sobie spać legnę  
pod kopycy cieniem.

Legnę se do spania  
na skoszonej łące.  
Wietrzyk mi nawieje  
cudne sny — pachnące!

*Stanisława Daszyńska.*



Fot. Presse Bilder.

JUŻ SIĘ NAUCZYŁAM SZYC NA MASZYNIE. LATEM USZYJĘ SOBIE  
FARTUSZEK I BĘDĘ W NIM CHODZIŁA W PRZYSZŁYM ROKU DO SZKOŁY.

## Zbliża i zdaleka.

### TRUDNE ZAWODY LOTNICZE.

W drugiej połowie maja odbyły się niezwykle trudne zawody lotnicze w Austrii t. zw. lot alpejski. Zawody te rozpoczęły się od tego, który z lotników ze swej ojczyzny do Wiednia przeleci największą drogę w czasie najkrótszym. Udział w tych zawodach wzięli dwaj polscy lotnicy: kpt. Bajan i kpt. Dudziński. Wylecieli oni z Warszawy i przelecieli do Charkowa, do Leningradu, Lwowa i stąd do Wiednia. Dzięki temu zdobyli kpt. Bajan 1-sze miejsce, kpt. Dudziński 2-gie miejsce. Dalsze zawody odbywały się w warunkach niezwykle ciężkich. Z ogólnej liczby zawodników zaledwie dwóch ukończyło lot: Austriak i Włoch. Na jednym z lotników alpejskich rozbił się samolot kpt. Bajana i spłonął. Na szczęście lotnik wczas wyskoczył z mechanikiem z samolotu. Rozbił się też samolot kpt. Dudzińskiego, a lotnik został zraniony w czoło. Mimo tego niepowodzenia, kpt. Dudziński otrzymał trzecią nagrodę.

### MIASTO BEZ SAMOCHODÓW.

Jedynym w Europie wielkim miastem, bo liczącym 250.000 mieszkańców, a nie posiadającym ani jednego samochodu jest Wenecja. A dlaczego?

### JAKIEJ PRACY DOKONYWA ZEGAREK KIESZONKOWY?

Dobrze wszyscy znacie zwykły zegarek kieszonkowy, ale nie domyślcie się nawet, jak wielkiej dokonywa on pracy, chodząc bez przerwy dniem i nocą.

Otóż obliczono, że gdyby kółko zegarka, kołyszące się to w jedną, to w drugą stronę, mogło posuwać się w jednym kierunku, to przebywałoby dziennie 36 kilometrów, a w przeciągu 3 lat dokonałoby podróży dokoła ziemi na linii równika.

### OSTROŻNIE-Z PSAMI I KOTAMI!

W sierści kotów i psów znajduje się schronisko dla 475 różnych gatunków pasorzytów; niektóre z nich mogą spowodować u człowieka śmiertelną chorobę. Po zabawie z temi zwierzętami trzeba zawsze myć ręce!

### OGNIOTRWAŁE DRZEWO.

W Australji znajduje się drzewo z gatunku eukaliptusów, zwane przez krajowców Niauli, którego ogień się nie ima. Francuzi i Amerykanie postanowili sadzić to drzewo w lasach, aby stworzyć wał obronny przed niebezpieczeństwem pożaru.

## Co u nas słysząc.



### KOCHANY „PŁOMYKU”!

Przesyłamy Ci fotografię Kaszubek. Chciałyśmy pokazać innym dzieciom, które jeszcze nie widziały strojów kaszubskich, jak my, dziewczynki kaszubskie, wyglądamy. Na przedstawieniu szkolnym dziewczynki z oddziału drugiego i trzeciego tańczyły tańce kaszubskie. Tańce te nazywają się: żek, koseder, trojak i szewczyk. Kaszubki zwykle noszą suknie do kostek w kratę, białą bluzkę, barwny fartuszek, biały czepek z pękiem kolorowych wstążek i czarny gorsceik, złotym sznurkiem ściągany.

Czy ładny jest nasz strój?

*Brygida Rymerówna,*

*uczennica klasy III Szkoły Ćwiczeń w Wejherowie.*

### KOCHANY „PŁOMYKU”!

Mieszkam na granicy polsko-bolszewickiej, w Skale nad Zbruczem. Słuchałem dn. 22 kwietnia r. b. ślicznej audycji p. t. „Żywy numer Płomyka”. Miałem gości, Stasia i Reginkę, i bardzo nam się ta audycja podobała. Mój Tatusz jest kapitanem i w lecie chodziłem z Tatusiem na granicę i przyglądałem się bolszewickim żołnierzom i oficerom, ale wcale się ich nie boję. Ubrani są w zielone bluzy i granatowe spodnie. Czapki mają w lecie zielone, okrągłe a w zimie śpiczaste z czerwona gwiazdą na przodzie. Mam 9 lat i chodzę do III-ciej klasy.

Się serdeczne pozdrowienia.

*Ryszard Światłowski.*

## DOKĄD PÓJŚĆ NA WYCIECZKĘ?

(Wskazówki dla dzieci warszawskich).

Nie wszystkim dzieciom warszawskim uda się wyjechać latem na wieś, niektóre będą zmuszone pozostać w mieście. Lecz i te dzieci mogą sobie urozmaicić czas wycieczkowaniem w okolicy podmiejskiej. Zazwyczaj duża trudność przedstawia ułożenie sobie trasy wycieczki; dla uniknięcia tej trudności ułożyliśmy poniższą marszrutę kilkunastu wycieczek jednodniowych.

1. Wilanów — Zawady — Czerniaków. Czas trwania wycieczki — 10 godzin. Dojeżdża się tramwajem 2-ką do ostatniego przystanku. 2. Bielany — Młociny albo Marymont — Młociny. Wycieczka ½-dniowa. Dojeżdża się tramwajem Nr. 15. 3. Pyry — Powsin — Kępa Falenicka — Miedzeszyn. Wycieczka całodniowa. Dojazd kolejką wilanowską (plac Unji Lubelskiej) — (10 km.). 4. Mińsk Mazowiecki — Mrozy. Jednodniowa. Dojazd koleją z dworca Wschodniego. 5. Biegiem Wisły — Żerań — Wilanów. Wycieczka ½-dniowa, wracamy tramwajem. 6. Koło — Laski — Bielany. Wycieczka ½-dniowa. Dojeżdża się tramwajem Nr. 15. 7. Pruszków — Komorów — Podkowa Leśna. Wycieczka ½-dniowa. Kolejka. 8. Piaseczno — Słomczyn — Karczew — Otwock. Czas trwania: 1 dzień. Kolejka. 9. Czerniaków — Wilanów — Marysinek — Służew — Wierzbno. Wycieczka jednodniowa. 10. Gocławek — Wawer — Anin — brzegiem Wisły powrót do Warszawy. 11. Falenica — Wiazowna — Zbarr — Miłosna. Jednodniowa Wyjazd koleją (dworzec Wschodni lub Gdański), powrót kolejką. 12. Piaseczno — Skolimów — Natolin — Wilanów. Czas trwania: 1 dzień. Kolejka. 13. Chotomów — Kępa Kelpińska — Łomianki. Jednodniowa. Dojazd koleją z dworca Gdańskiego. 14. Targówek — Białołęka — Pludy. Jednodniowa (10 kilometrów). Wyjazd i przyjazd tramwajem. 15. Łomianki — Wydma — Łużyce — Młociny. Jednodniowa. Dojeżdża się 15-ką do końca, potem pieszo. 16. Wawer — Grzybowa — Sulejówek. Wycieczka 10-ciogodzinna. Z początku jedziemy tramwajem Nr. 24 do Gocławka, a później maszerujemy przez Gocławek — Wawer — Zielona — Grzybowa — Wesola — Wola Grzybowska — Sulejówek (12 kilometrów). Wraca się pociągiem. 17. Radość — Wał Miedzeszyński. ½-dniowa. Dojeżdża się koleją z dw. Gdańskiego. Wraca się na piechotę. 18. Okęcie — Zbarr — Niemieckie Szopy — Wierzbno. ½-dniowa. Dojazd tramwajem.

No więc, macie już kilkanaście tras wycieczkowych. Teraz już tylko od Was zależy, kiedy się wybrać gromadką na wędrowkę. Spodziewam się, że już w kilka dni po skończeniu roku szkolnego — spotkamy się gdzieś na polanie wśród lasu, na szosie lub nad rzeką. Miejcie tylko wygodne buty (aby nie uwierały i nie nacierały), jakąś piłkę do gry przy sobie, trochę jadła w plecaku — a byleby pogoda dopisała, to reszta się ułoży!

A zatem wesołego wycieczkowania!

### SCHRONISKA.

„Informator w sprawie szkolnych schronisk wycieczkowych”, wydany przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, można kupić w „Książnicy”, Warszawa, Nowy-Swiat 59. Obecnie, kiedy tyle szkół przygotowuje się do wycieczek, niepodobna obejść się bez tej książeczki.





# DZIAŁ ROZRYWEK



Około 600 dzieci nadesłało rozwiązania zadań II Turnieju Rozrywkowego. Z tej licznej gromadki około 180 nadesłało rozwiązania trafne, natomiast z tej liczby tylko 60 uwzględniło 3-ci warunek, który brzmiał (patrz Nr. 28): upominki otrzymają ci, którzy napiszą rozwiązania czysto i starannie; za staranne i czysto napisane rozwiązania redakcja będzie doliczała 5 do 10 punktów.

Zdobywcy tych dodatkowych punktów zostają więc zwycięzcami. Zwycięzcom redakcja wyśle w upominku książki.

Oto lista zwycięzców:

## TRAFNE, CZYSTO I STARANNIE NAPISANE ROZWIĄZANIA WSZYSTKICH ZADAŃ „II TURNIEJU ROZRYWKOWEGO” NADEŚLALI:

Irenka Aтанowska, Otycja; Włodek Bujakowski, Biała Podlaska, Piłsudskiego 21; Marja Ballówna, Przecław koło Mielca, wojew. krakowskie; Jurek Bedyński, Piaseczno koło Warszawy, Rejtana 3; Danuta Burnaglówna, Łódź, ul. Zagajnikowa 44; Adrian Czarniecki, Rabka-Zdrój, pens. „Lotos”; Mysia Deszkiewiczówna, Bydgoszcz, ul. Gdańska 54 — II p.; Aleksandra Dellmanówna, Mołodeczno, 86 p. p.; Andrzej Dudziński, Dąbrowa Górnicza, ul. Okrzei 2; Janusz Dzikiewicz, Warszawa, ul. Rybaki 35, m. 10; Lesia Duszyńska, cukrownia Łanięta, poczta Ostrowy; uczniowie i uczennice III i IV oddz. Szk. Powsz. w Kudejszach, p. Sobotniki, pow. Lida; Sabina Eksztajnówna, Warszawa, Agrykola 16, bud. 3, m. 31; Danusia Gluzówna, Ryczywół, ul. Mickiewicza; Halina Gondkówna, Sandomierz; Jerzyk Grudzielski, Warszawa, Chocimska 16; Jadwiga Grudzielska, Warszawa, Chocimska 16; Tadzik Hoff, Sanok, ul. Jagiellońska 39; Zbyszek Hummel, Warszawa, ul. Marszałkowska 12, m. 11; Roman Jankowski, Lisków koło Kalisza; Zosia Karmańska, Wadowice, ul. 3 maja 65; Tadeusz Kapica, Stefanów Barzewski, p. Brzeźno koło Sieradza, woj. łódzkie; Hela Kleczeńska, Lwów, ul. Tarnowskiego 26 — II p., m. 9; Stanisław Kołodziejczyk, Legionów; Danusia Kuczerówna, Tarnów, ul. Widok 43; Danuta Kunaszewiczówna, Włodzimierz, Szkoła Podchorążych Rez. Art.; Bartuś Kwieciński, Sandomierz, ul. Świętopawelska 8; Andrzej Lipka, Cieszyn, ul. Stawowa, dom p. Kajzera; Bohdan Laskowski, Sandomierz, ul. Mickiewicza 2; Leszek Łopatka, Królewska Huta, pl. Mickiewicza 17; Halina Łosowska, Piotrków Tryb., Słowackiego 18; Stanisław Minor, Kraków, II Osiedle Ofic. Nr. 3; Hanka Mastalerzówna, Końskie, stacja; Witus Młodziejewski, Warszawa 9, ul. Syrokomli 6; Hanka Niemczycka, Lwów, ul. Pawła Stalmacha 1; Andrzej Oleś, Limanowa; Danuta Osuchowska, Skafat; Zbigniew Pietrzak, Ostrzeszów, poczta; Zbigniew Perzanowski, Kraków, Anczyca 2; Zosia Purska, Warszawa, Kredytowa 2; Jurek Piechota, Lublin, Solna 5, m. 10; Jurek Rogowski, Starachowice, Zakłady Hutnicze; Krysia Sadtowska, Pabjanice, Kościuszki 15; Zosia Sadzikowska, Kępno, ul. Warszawska 54; Hania i Jędrus Samsonowiczowie, Warszawa, ul. Wilcza 22, m. 7; Lusia Skorupska, Sandomierz, ul. 11 listopada 8; Anna Średnicka, Bydgoszcz, Gdańska 95, m. 5; Stefan Stojakowski, Dąbrowa Górnicza, ul. Sobieskiego 12; Jadwiga Stawińska, p. Żytomla, pow. grodz., Urząd Gminny; Jerzy Szulc, Grodno, Komenda Miasta; Władysław i Jadwiga Weindling, Kraków, Biskupia 4 — I p.; Jacek Węgrzynowicz, Kielce, ul. 3 maja 49; Halina Wierzchucka, Łomża, Polowa 8-a; Hanka Wiśniowska, Lwów, ul. Stryjska 1; Janina Wojtaszkówna, Przecław, woj. krakowskie; Marjan Wyczółkowski, Piotrków, ul. Narutowicza 68; Oddz. III Szk. „Rodziny Wojskowej” w Jablonnie Legionowej; uczniowie kl. V Szk. Powsz. w Stanisławicach; IV Oddz. Szk. Powsz. w Wólce Zamkowej, p. Drohiczyn n/B.

## ROZWIĄZANIA ZADAŃ „II TURNIEJU ROZRYWKOWEGO”.

Nr. 1. Szarada: kopała; Nr. 2. Szarada: boa; Nr. 3. Szarada: Karpaty; Nr. 4. Zagadka: Dunaj-ec; Nr. 5. Zagadka rebusowa: W-i-sła; Nr. 6. Zagadka: piłka; Nr. 7. Zagadka: sroka; Nr. 8. Rebus: Wyszło szydło z worka; Nr. 9. Dwuznacznik: Ren; Nr. 10. Zagadka arytmetyczna: 2; Nr. 11. Zagadka rebusowa: sto-pnie; Nr. 2. Zadanie obrazkowe: Cień studni pada w przeciwną stronę; Nr. 13. Metagram: woły - wory; Nr. 14. Zagadka: osa - kosa; Nr. 15. Zagadka literowa: „Płomyk”; Nr. 16. Zagadka: Bug - Bur - buk - but; Nr. 17. Szarada: mamuty; Nr. 18. Zagadka rebusowa: odyniec; Nr. 19. Zadanie: gil, lew, wąż, żuk, kot, tur, rak, kos, sum, mól, lis, sep, paw, wół, łoś; Nr. 20. Figle: związki, sport; Nr. 21. Zagadka: Stryj; Nr. 22. Zagadka: Wojciech - ojciec; Nr. 23. Figle: gruda, Gertruda; Nr. 24. Figle: pierogi, minogi; Nr. 25. Zagadka: wyka; Nr. 26. Szarada: szarada; Nr. 27. Rebus: Mikołaj; Nr. 28. Zagadka: San - sad - Sas.

UWAGA: Przyjmowaliśmy również jako dobre rozwiązanie te, które — choć nie brzmiały jak powyżej podane — jednak miały sens logiczny. (Naprzykład: Zad. Nr. 20, Obowiązki; Zad. Nr. 22, Ursyn — syn).

## ROZWIĄZANIE INNYCH ZADAŃ:

Z Nr. 39 — Rebus: Cukier krzepi; Zagadka 1: Kozuch na śmietanie; Zagadka 2: Lira; Figle: Strop, chmury; Szarada 1: Litera; Szarada 2: Adyga; Zagadka 3: Bratek - brat.

Z Nr. 40/41 — Rebus: Szła czapła po, desce.

## HALLO! TU RADJO DO WAS MÓWI!

We czwartek, 15.6 o g. 16-ej — w święto Bożego Ciała — zostanie nadane ciekawe, barwne słuchowisko z Krakowa p. t. „Konik Zwierzyniecki”. Uzupełni program ostatnia przed wakacjami „zagadkowa” audycja. Sympatyczny i wesoły wujaszek na pożegnanie rozlosuje nagrody dla radjosłuchaczy.

Programy radiowe na okres letni zostaną uszczuplone. Sądzę, że Was to zbytnio nie zmartwi. Wszakże wszyscy latem wolimy przebywać na powietrzu, na słoneczku — kąpać się, wycieczkować... Więc Wasz przyjaciel radiowy ustępuje skromnie miejsca tym rozrywkom. Jeśli jednak zechcecie czasem z nim pogawędzić, wiedźcie, że programy dla dzieci będą nadawane stale w niedziele, czwartki oraz dni świąteczne od g. 16.00 do 16.30. Pamiętajcie o tem!

A teraz, miłe radjosłuchaczka, płomykowy kącik radiowy żegna Was, życząc, abyście jak najzdrowiej i najweselej spędziły wakacje.

## POŻEGNANIE.

*Kochane dzieci! Żegnam już Was.  
Dziś się widzimy ostatni raz.*

*Wakacje blisko, za kilka dni...  
Pewno Wam często o nich się śni?*

*Wakacyj również spragniony sam  
Wasz „Płomyk” szczerze dziś życzy  
Wam,*

*byście spędzili miło ten czas,  
który chwilowo rozłączy nas!*

---

Przesyłając serdeczne życzenia wesołych wakacyj, zawiadamiamy, że Nr. 1 następnego rocznika ukaże się w pierwszą środę września.

---

Do numeru niniejszego załączamy spis rzeczy.

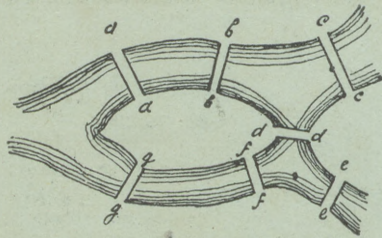
---

Zostaje teraz wyrysować je podług danych wskazówek.

Ciekawe jest, że często niewyko-  
nalnymi są najprostsze wzory, podczas  
gdy nawet bardzo skomplikowane nieraz  
swobodnie się rysują jednym ciągiem.

Na poprzedniej stronie podajemy  
jeszcze kilka wzorów do samodzielnego  
ich zbadania i wyrysowania.

Przy rysowaniu trudniejszych wzorów  
należy zapomocą cienkiej bibulki  
przenieść na papier same węzły, a potem  
je łączyć linjami.



MOSTY.

ZADANIE.

Mamy na rzece 7 mostów: a-a, b-b, c-c, d-d, e-e, f-f i g-g.

Z badać i objaśnić, czy można przejść je jednym ciągiem, przechodząc po  
każdym moście tylko jeden raz?

Stefan Piekarski.

## OD KOMITETU BUDOWY KOPCA - POMNIKA HENRYKA SIENKIEWICZA W OKRZEI.

### ULGI KOLEJOWE DLA WYCIECZEK DO SYPIANIA KOPCA H. SIENKIEWICZA W OKRZEI.

- a) grupy, składające się conajmniej z 8 osób — 33% zniżki,
- b) grupy z 50 osób — 50% zniżki,
- c) grupy z 200 osób — 60% „
- d) grupy z 250 osób — 66% „
- e) młodzież szkolna w grupach od 8 osób — 75% zniżki.

Jednocześnie komunikujemy, że przyjazd wycieczek w sezonie obecnym już  
się rozpoczął. Na miejscu przy kopcu są wszystkie przybory do sypania kopca,  
ustawiono schron przed deszczem i urządzono bufet. Z wielu miejsc kraju zapo-  
wiedziane są wycieczki szkół i organizacji, które po przybyciu do Okrzej wezmą  
udział w sypaniu kopca i będą zwiadzały pamiątki. Prosimy o przywożenie z sobą  
grudek ziemi, która będzie w uroczysty sposób składana na kopiec. Ponieważ sprawa  
kopca związana jest z wydatkami, Komitet zwraca się z wezwaniem do zapi-  
sywania się na członków Komitetu i do urzędzenia w roku obecnym, jako w 50-letnią  
rocznicę Trylogji, we wszystkich miastach akademij i imprez dochodowych na rzecz  
kopca.

Poczta i st. kol.: Okrzeja. Konto P. K. O. 143.913.

#### WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33:

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35  
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 18.  
Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano  
do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.  
Redaktorka—HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny—MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Wakacje się zaczynają!

DTN  
KRAJOWA  
KADROWE